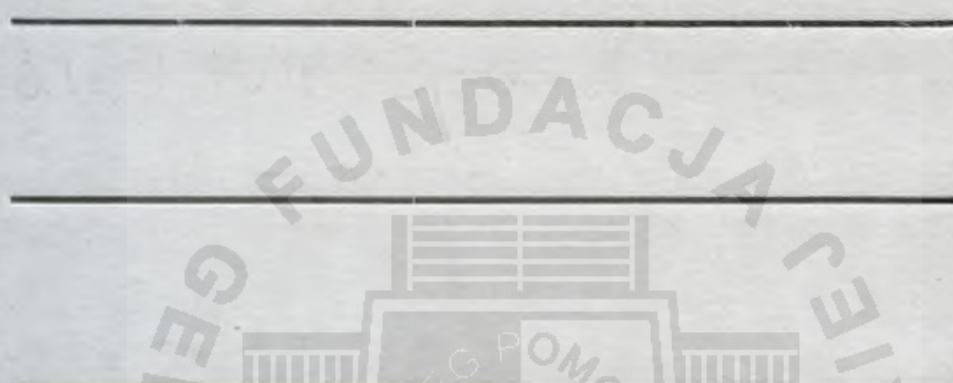


*akt... w sprawie...*



res:  
-205 W-wa

PWK FK KG  
W-wa  
Powst.

**LIPIŃSKA Hanna**

Iv° Downarowicz  
IIv° Żurkowska  
ps. „Halszka”

1811 / WSK

J. 1811/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — Lipińska Hanna

IV° Downarowice

II° Żurkowska  
ps. „Halnka”

**I. Materiały dokumentacyjne**

I/1 – relacja właściwa ✓ k. 2, s. 2.

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

**II. Materiały uzupełniające relację** ✓ k. 38, s. 38

**III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):** —

III/1 – dot. rodziny relatora —

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 – 1945) —

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne... —

**IV. Korespondencja** ✓ k. 5, s. 6

**V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”]** ✓ n

**VI. Fotografie** —

I/1.

RELACJA

- Relacja w formie listu do Fundacji - Hanny Dowbaronice - Furkowskiej, 4-12 30 czerwca 1999 r.  
Msp. Oryginał, k. 2, s. 1-2.



Fundacja  
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej

Szanowni Państwo

Serdecznie dziękuję za szybką odpowiedź na mój list do Fundacji. Poniżej podaję dane na temat mojej działalności według załączonego "Schematu Relacji WSK".

I. 1 - Dane osobowe:

Nazwisko - jak podałam w nagłówku. Nazwisko panięskie - Lipińska. Pseudonim w czasie okupacji - "Halszka".

2 - Urodziłam się w dniu 23 września 1919 roku w Zamościu.

Imię ojca - Bolesław, matka - Zofia z domu - Koneczińska.

3 - Adres - jak podałam w nagłówku. Telefon - 632-04-75.

II. Dane środowiskowe

1 - Studia wyższe ukończyłam w 1948 roku na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej. Przed wojną rozpoczęłam studia na Politechnice Warszawskiej, a w czasie okupacji - na tajnych kompletach, prowadzonych przez profesorów Politechniki

2 - Po ukończeniu studiów pracowałam w biurach projektowych, od stycznia 1949 roku, do czasu przejścia na emeryturę w roku 1979. Od roku 1952-go należałam do Stowarzyszenia Architektów Polskich. Przez szereg lat byłam przewodniczącą koła SARP przy oddziale warszawskim.

3 - Do Przysposobienia Wojskowego Kobiet należałam od 1934 do 1937 roku, do ukończenia gimnazjum. Byłam na dwóch obozach - w Koszewnikach pod Grodnem i na Polance Redłowskiej.

III. Udziału czynnego w kampanii wrześniowej - nie brałam.

IV. Życiorys cywilny w okresie 1939 - 1947.

Do wybuchu wojny mieszkałam w Warszawie. Po upadku Powstania Warszawskiego i przejściu przez obóz w Pruszkowie - mieszkałam do czasu wkroczenia armii radzieckiej w Murzasichlu, a po wojnie w Sopocie.

V. 1- Zawdzięczając spotkanym przypadkowo instruktorkom PWK Marii Szczurowskiej i Halinie Piwońskiej/ - już w początkach października zostały przyjęta do SZP, późniejszego ZWZ, przekształconego w 1942 roku w Armię Krajową.

2 - Przysięgę składałam w prywatnym mieszkaniu - "Katarzynie" Marii Szczurowskiej.

- 2/1/2
- 3 - Zostałam przydzielona do poczty "Begonia" - prowadzonej przez Janinę Sipko, pseudonim - "Berta". Poczta ta była jedną z trzech central pocztowych obsługujących Komendę Główną. były to poczty : "Astry" - "Begonia" i "Cykoria" - podległe bezpośrednio Janinie Karasiów nie - ps. "Bronka". Po dwóch latach zostałam przeniesiona do Biura Informacji i Propagandy - BIP, gdzie powierzono mi prowadzenie poczty podległej bezpośrednio "Elżbiecie" - Irenie Piaseckiej - szefowej sekretariatu BIP-u, oraz Janowi Rzepeckiemu - "Prezesowi". Zadaniem mojej poczty, oprócz łączności z komórkami BIP-u, była łączność z Komendą Główną. Liczebność komórki, tak jak wielu innych - wynosiła 5 osób.
  - 4 - Moje funkcje - łączniczka, kierowniczką poczty. Posiadam następujące odznaczenia: "Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami", " Krzyż Walecznych, "Krzyż Armii Krajowej oraz akcji "Burza".
  - 6 - W konspiracji brał udział mój mąż - Stefan Downarowicz ps. "Mech". Pracował w "Kedywie i "Czacie 49". Z pośród przyjaciół mogę wymienić Stanisława Sosabowskiego jr. ps. "Stasiniek" oraz Ewę Pohoską - ps. "Izolda".

VI, VII i VIII - nie dotyczą mojej pracy.

IX. Życiorys powojenny.

W 1948 roku ukończyłam studia wyższe. W 1943 roku wyszłam za mąż za Stefana Downarowicza. W 1945 roku urodziłam dziecko - córkę Barbarę.

Od stycznia 1949 roku pracowałam w biurach projektowych, najpierw w Gdańsku, a następnie w Warszawie. Przynależność do PWK ani moja działalność konspiracyjna i udział w powstaniu nie miały wpływu na moją pracę zawodową. Nikomu oprócz ankiet personalnych i znajomych nie ujawniałam mojej wojennej przeszłości. Na emeryturę przeszłam we wrześniu 1979 roku.

Z pośród organizacji społecznych - to oprócz SARP-u brałam czynny udział w życiu sportowym. Należałam do Polskiego Klubu Morskiego w Gdańsku, a następnie do AZS-u w Warszawie. Posiadam stopień "Jachtowego Kapitana Żeglugi Wielkiej". Prowadziłam szereg rejsów po Bałtyku, Morzu Północnym i Oceanie Atlantyckim.

Dokumentacji z okresu 1939-1947 - nie posiadam.

Ad.pkt.V.-7- Brałam udział w Powstaniu Warszawskim od 1 sierpnia do 4 -go października. Wyszłam wraz z ludnością cywilną zgodnie z poleceniem "Prezesa" - z uwagi na to, że byłam w początkowym okresie ciąży.

## II. Materiały uzupełniające relację:

- Frampol - początek drogi - Wnieścień 1939 - wspomnienia Hanna Downarowicz - Łączniacka AK. Mat. przekazany przez ptk. H. Myslińskiego do J. Kusyńskiego, które przekazano do Fund. (12.V. 2004). Msp. 2 karty, Kopia, k. 7, s. 1-7.
- Hanna Downarowicz - zapiski z pamięci. Od października do października 1939 - 1944. Msp. kserokopia. Druk 2 karty, (zblindowany). k. 31, s. 2-38.



H Downarowicz

FRAMPOL POCZATEK 22002

II/A

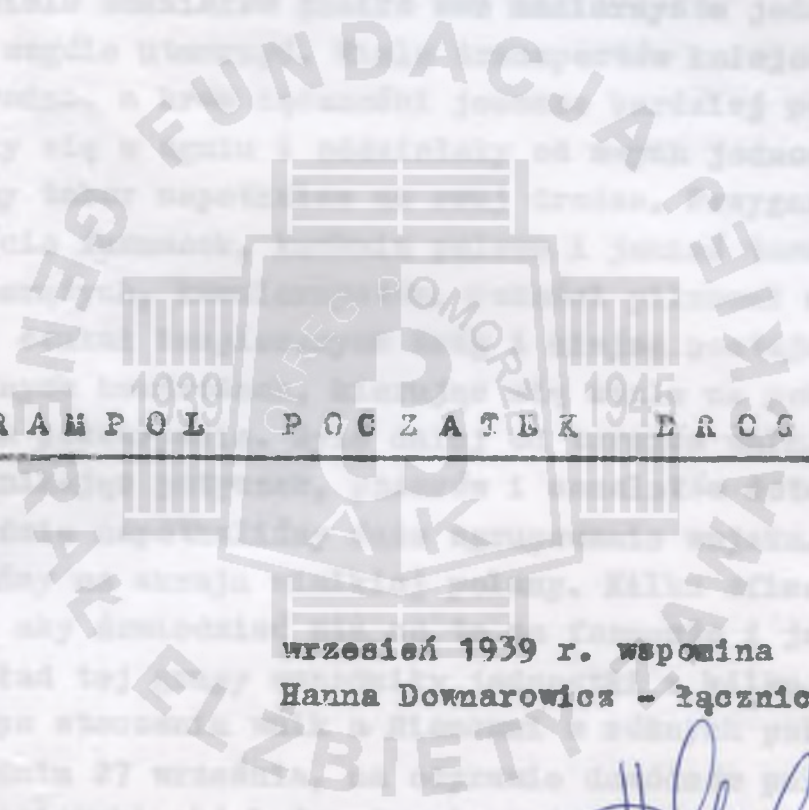
**FUNDACJA**  
 "Archiwum i Muzeum Pomorskie  
 Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"  
 w Toruniu

Wpłynęło dnia: 19 XI 2004

L. dz. 2836 / WKK-412/04

Załącznik: .....

Referent: .....



FRAMPOL POCZATEK ERCSI

wrzesień 1939 r. wspomina  
Hanna Downarowicz - łączniczka AK

*[Handwritten signature]*

wzruszeń 31. 8 2004

Frampol - to małe miasteczko zagubione w lasach Zamojszczyzny - głęboko wryło się w moją pamięć. Wprawdzie dla mnie nie był to początek drogi, ale jej zakończenie. Zakończenie wrześniejszej wiosny. Ale dla innych, dla wielu innych było początek drogi tragicznej. Zamojskie lasy, cała Lubelszczyzna i wschodnie tereny Rzeczypospolitej, tego pamiętnego września były terenem ogromnych ruchów wojsk i niesztanych walk z nacierającym wrogiem. Gdy już nie było nadziei na utworzenie drugiego frontu rozpoczęło się dramatyczne lawirowanie pomiędzy dwoma nieprzyjacielskimi armiami. Rozkaz Naczelnego Wodza mówił wyraźnie, że z Rosjanami walczyć nie należy, chyba, że chcieliby nas rozbrajać. Wiele oddziałów gubiło swe macierzyste jednostki, wiele nie zdołało się wogóle utworzyć. Wiele transportów kolejowych utykało gdzieś po drodze, a brak łączności jeszcze bardziej pogłębiał ten chaos. Tabor gubił się w ogniu i oddzielał od swych jednostek. I taki właśnie zagubiony tabor napotkałam na swej drodze. Przygarnęli mnie. Było tam kilkanaście furmanek, kuchnia polowa i jakieś taczanki. Kilku oficerów, podchorążych, kawalerzystów. Całości pilnował sierżant. On wydawał rozkazy, szukał bezpiecznych dróg i miejsc postoju. I tak wędrowaliśmy po leśnych bezdrożach, kierując się stale na południe, aby przedostać się na podkarpacie. Były dalej od terenów walk, były bliżej kresów. I tak unikając potyczek, pożarów i samolotów dotarliśmy do lasów nad Sanem, gdzie napotkaliśmy duże zgrupowanie wojska. Nasze obozowisko rozłożyliśmy na skraju wielkiej polany. Kilku oficerów poszło zasięgnąć języka, aby dowiedzieć się co to za formacja i jakie mają dalsze zamiary. W skład tej grupy wchodziły jednostki z kilku pułków, które połączyły się po stoczeniu walk z Niemcami w różnych pobliskich miejscowościach. W dniu 27 września, na odprawie dowódców pułków, pułkownik Tadeusz Zieleniewski objął dowodzenie nad całością oddziałów. Według jego późniejszych relacji były to cztery małe pułki piechoty, dwa dywizjony artylerii, batalion saperów i pułk kawalerii. Było to więc ogółem - parę tysięcy żołnierzy. Zamierzano manewrować pomiędzy Niemcami i Rosjanami pokonując mniejsze opory i osiągnąć pogórze Karpat, a może nawet przedostać się do Rumunii lub na Węgry. Radość nasza ze spotkania tak dużej grupy wojska była ogromna. Poczuliśmy się bezpiecznie, w przededniu podjęcia przez dowództwo ważnych decyzji.

Następnego dnia, w niedzielę 1-go października, odbyła się na polanie msza polowa, odprawiona przez kapelana wojskowego. Dzień był piękny, słoneczny, jakby to było pożegnanie lata. Nie tylko zresztą lata. Po mszy odbyła się odprawa dowódców, a potem przemówienie do



11 | 3      2

zwołanych na polanę żołnierzy. Byłam tam oczywiście i ja. Przemawiał pułkownik Zieleniewski. Sytuacja była beznadziejna. Z przodu - San i Niemcy, za Wisłą także Niemcy a od wschodu Rosjanie. Zjawili się parlamentariusze. Na odprawie dowódców zdecydowano złożyć broń i oddać się w ręce Rosjan, z dniem 1-go października. Przez całą noc, wbrew poleceniom dowódców, żołnierze wystrzelali całą broń nie chcąc oddawać jej w ręce wroga. W tę ostatnią już noc jasno było od ognia jak w dzień. Kanonada była głośna. Strzelano z broni maszynowej, z armat z czego się tylko dało. Taka to była nasza ostatnia salwa. Następnego dnia, 2-go października rano, zjawili się pierwsi Rosjanie. Szaro bure długie płaszcze, nieobrubnione, przewiązane esnurkiem. Taka to była ta zwycięska armia, której myśmy się poddali! Nasi żołnierze po miesięcznej tułaczce i po ciężkich walkach prezentowali się wspaniale. Starannie ubrani, porządne mundury, płaszcze, zachowanie - godne. Całe to nasze świetnie prezentujące się wojsko - miało się poddać tym oberwancom! Straszliwie zakpił sobie los w tych naszych beznadziejnych poczynaniach.

Tymczasem Ruscy zachowywali się spokojnie, uśmiechali się do nas i tylko nie pozwalali się rozprasać, na pobliskich terenach leśnych. Żołnierze nasi zwijali namioty i ustawiali w kopce broń, tak jak polecił nasz dowódca. Niedługo potem przyjechały "Kamandiry" jakimś sdezelowanym łazikiem. Poszli na rozmowy ze sztabem. Czekaliśmy co nam mają robić. Wszystko wyglądało bardzo optymistycznie. Mamy się wszyscy razem udać na punkt zborny, na który oni nas poprowadzą. To właśnie Frampol był tym wyznaczonym punktem zbornym. Tam - każdy kto zechce może wracać do Warszawy, czy do innego miasta zajętego przez Niemców. Dostanie przepustkę, a nawet bilet kolejowy dla żołnierzy. Ci co wolą zostać po wschodniej stronie - poprostu rozejdą się do domów. Oficerowie mają być zwolnieni po dokonaniu spisów. Tymczasem oficerów zobowiązano do przestrzegania ustalonych reguł i ogólnego porządku. No i wyruszyliśmy. Pieszko. Gęsiego. Furmanki i tacsanki jechały za nami, ale siadać na nich nie było wolno. Ja razem ze swoim szłam przy naszych wozach pilnującego roweru, który wydawał mi się największym skarbem. Po obu stronach naszego, długiego pojedynczego ciągu, szli z rzadka pojedynczy Rosjanie. Wydawało się, że panuje całkowita swoboda. My tymczasem naradzaliśmy się co robić dalej. Wszak był apel przez radio, że mamy iść przez Rumunię na zachód. Kogo słuchać! Była całkowita dezorientacja i każdy robił to co uważał w tej sytuacji za najlepszą. Pojedynczy żołnierze, korzystając z nieuwagi Rosków, przesuwali się w takie miejsca w szeregu, w którym była większa luka i pewna szansa na ucieczkę. Szeregi nasze rzadły. Co jakiś czas ktoś uciekał, chowając się w głąb lasu. Ruscy czasami sawracali kogoś niewczesnie zauważonego. Im dalej - tym gęstsze stawały się te

11/4 3

ruskie straże. Niewiadomo skąd przybywali. Zjawiali się jak cienie. Ja trzymałam się swojej grupy, wierząc, z jednej strony w ich rozsądek, a z drugiej mając nadzieję na te przepustki. Za wszelką cenę chciałam się dostać do domu, do Warszawy. Wielu żołnierzy i podchorążych, wiedząc o mych zamiarach, prosiło mnie o przekazanie swoim rodzinom wiadomości, że żyją i że chcą się udać dalej do Rumunii i na zachód, jeśli to tylko będzie możliwe. Oficerowie uważali za swój punkt honoru iść dalej, tak jak polecił nasz dowódca. Szliśmy tak kilometrami, bez odpoczynku, żywiąc się resztkami zabranymi z obozu. Nasz sierżant o nas dbał. Po całym dniu marzu, wieczorem, już po ciemku dotarliśmy do Frampola. Miasteczko to stało się obiektem doświadczenia dla żołnierzy niemieckich, o czym wyczytałam później w bibliotekach. Założone regularnie na kwadracie, z ogromnym rynkiem po środku i wysoką wieżą ratuszową, sterczącą jako idealny punkt obserwacyjny nadawało się idealnie do sprawdzenia celności bombardowania. Ten masowy nalot odbył się 12 września. Niemcy perfekcyjnie wykonali swoje zadanie, i skuteczność bombardowania. Widziałam w książkach /wg niemieckich źródeł/ plan tego miasteczka przed zbombardowaniem i drugie zdjęcie już po nalocie. I rzeczywiście zostały tylko ruiny. Nic się już nawet nie paliło. Ulice puste. Żywego ducha w całym miasteczku. W niewielkim oddaleniu od rynku - ogromny pusty plac, ogrodzony murkiem, z kościołem po środku. Jedyna oszalata budowla pod dachem, całkowicie wyszabrowana we środku. Tam nas wszystkich zapędzono na noc. Wozy konne i taczanki kazali wyprowadzić na dziedziniec kościelny, wszystko to co tylko mogło się zmieścić. Miastoty nie udało mi się zobaczyć po ciemku gdzie są nasze wozy i nasz opiekun sierżant. W kościele trzymaliśmy się razem z moją grupą oficerów, bo żołnierze byli skupieni gdzie indziej. Pokładaliśmy się pokotem na drewnianym podwyższeniu pod jakimś bocznym ołtarzem i zasnęliśmy kamienym snem, po trudach i przeżyciach całego dnia.

Obudziłam się wczesnie rano, całkowicie porażona z niewygody i twardego, mimo, że drewnianego podłoża. Inni mieli gorzej, bo spali na twardej kamiennej posadzce kościoła. Rewelrzałam się w koło. Zobaczyłam jednego z naszych żołnierzy, który dawał mi jakieś znaki. Poszłam w jego stronę wymijając starannie skurczone, śpiące ciała. Dał mi znak, żebym poszła za nim. Wyszłam na szczyt kościoła. Był chłodny ale pogodny ranek. Cały dziedziniec dookoła kościoła zabezpieczony był podwodami. Za murkiem kościelnym ciasny kordon Rusków. Mój żołnierz zbliżył się śmiało do jednego z nich i coś mu tam powiedział Rusek - odwrócił się, a ja zostałam dosłownie przetrzebiona przez ten kościelny aurek. Od razu dałam mira pomiędzy wozy, których tutaj było pełno. Zdaleka zobaczyłam mojego sierżanta, który wyraźnie czekał na mnie.

Okazało się, że za resztki wódki z pozostałych zapasów kompanii oraz za mój rower - pozwolili mi zabrać jeden z wozów z naszych taborów. Szybko wsiadłam a sierżant pogonił konie. Po chwili napotkaliśmy pięciu oficerów z naszej grupy, którzy wyrwali się wcześniej i właśnie na nas czekali. Rozpoczął się nowy etap naszej wędrówki. Przepustek oczywiście żadnych nie mieliśmy ale szybko posuwaliśmy się dalej i nikt nas jakoś nie zatrzymywał. Późnym wieczorem okrężnymi drogami dotarliśmy do Zamocścia. Dziwny to był widok. Miasto zupełnie nie zniszczone, ale na ulicach - pustki. Grasowała tylko "milicja". Sowieci szybko ją utworzyli. Składała się z ochotników. Włączyli się do niej Ukraińcy, marszący o wolnej "Ukrainie, Białoruscy chłopcy i Żydzi spragnieni życia w komunistycznym państwie no i oczywiście rozmaite męty społeczne. Wszyscy "milicjanci" w czerwonych opaskach, z bronią i gumowymi pałkami przy pasie. Unikaliśmy wszelkich z nimi kontaktów co nie było wcale łatwe. Nasz sierżant szukał kwatery dla koni i schronienia dla ludzi. Spotykaliśmy się codziennie naradzając się co zrobić dalej. W Zamocściu nie było bezpiecznie, a jechać bez przepustek nie mieliśmy odwagi. Sytuacja wkrótce wyjaśniła się sama. Okazało się, że Sowieci w swoim marszu na zachód posunęli się za daleko poza ustaloną linię demarkacyjną. Doszli aż do Wisły a mieli zajść tereny tylko do Buga. Musieli się więc wycofać. Nastąpiło bezkrólewie, poprzedzone gwałtowną ewakuacją Rosjan a z nimi Żydów i Ukraińców. Ta gwałtowna przepychanka trwała kilka dni. Potem już ludzie zaczęli ostrożnie wychodzić na ulice. Nikt już nie rządził, bo Rosjanie wyszli, a Niemców jeszcze nie było. A więc i my skorzystaliśmy z tego bezkrólewia i szybko wyruszyliśmy w drogę. Po dwóch dniach dotarliśmy do Otwocka i tam rozstaliśmy się z naszym sierżantem i oficerami. Do domu - do Warszawy - było już blisko. Tak więc zakończyły się te moje wrześniowe włóczęgi, od której rozpocząłem moje wspomnienia. Jak już trochę okrzepłam po przeżyciach całego miesiąca zaczęłam roznosić listy, które dano mi po drodze do Frampola. Niestety nie umiałam nie powiedzieć rodzinom o dalszym losie żołnierzy a zwłaszcza internowanych oficerów. Miałam nadzieję, że być może przedostali się jednak na południe, w czasie zawieruchy jaka powstała przy wycofywaniu się Sowieców za Bug, być może niektórym udało się uciec z konwoju i los ich potoczył się pomyślnie. Żałuję ogromnie, że nie zapamiętałam nazwisk towarzyszących mi oficerów, a najbardziej mojego przewodnika i opiekuna - SIERŻANTA. Jemu to zawdzięczam, że nic mi się nie stało i że mogłam pod jego opieką spokojnie powrócić do Warszawy.

Po jakimś czasie zaczęłamesperać w bibliotekach aby dowiedzieć się więcej szczegółów o tym gdzie się to działo. Muszę przyznać, że literatura na ten temat była do niedawna bardzo uboga, w porównaniu

7/6 5

z ogromną ilością króć łowych opisów działań wojennych i walk z Niemcami. Widać wyraźnie jaki to był wstydlivy temat. Znalazłem jednak kilka książek, z których najobszerniejsza była książka Lecha Głowackiego p.t. "Działania wojenne na Lubelszczyźnie". Znalazłem tam pewne dane o grupie płk. Zieleniewskiego, o kapitulacji 1-go października, no i o Frampolu, jako miejscu pierwszego postoju już w sowieckiej niewoli. Dzisiaj gdy to piszę dostępne są już materiały historyczne, różne wspomnienia, a nawet dokumenty. Zagłębiłem się więc w bibliotekach w poszukiwaniu wieści o naszych poczynaniach na wschodnich terenach poczynawszy od informacji o grupie t.zw. "Czterech pułkowników". W skład jej wchodziły oddziały płk. Koca, płk. Filipkowskiego, płk. Płonki no i płk. Zieleniewskiego. Aby wiernie oddać opis wydarzeń podaję fragmenty wspomnień płk. Zieleniewskiego według książki Czesława Orszelaka p.t. "Wrzesień 1939 r. na Kresach".

"30 września. Położenie następujące na linii Sanu pod Rozwadowem & Miskiem. - okopane oddziały niemieckie i artyleria. Rzeka płytka i posiada szereg brodów. Sforsowanie wydaje się możliwe, aczkolwiek ... wymagała sporego czasu! ... Tymczasem sytuacja od tyłu pogarszała się szybko. Wojska sowieckie dobiegły do północno-wschodniego skraju lasów. Zjawili się parlamentariusze. Sytuacja stała się bez nadziejna. Wokoło żadnych oddziałów, nigdzie żadnego dowództwa przełożonego, z przodu San i Niemcy, z boku Wisła i Niemcy, z tyłu Rosjanie. Nawet po sforsowaniu Sanu los byłby przypieczętowany: rozbicie i niewola niemiecka. Postanowiłem więc pertraktować i wstrzymałem opracowane już rozkazy natarcia na San. Warunki Rosjan były naogół dobre: rozpuszczenie ~~szeregowych~~ szeregowych i zwolnienie oficerów po dokonaniu ich spisu. Tego ostatniego warunku dowództwo sowieckie jednak nie dotrzymało." 1-go października. Napisałem ostatni rozkaz legnający ~~oddziały~~ oddziały & podający przyczyny poddania i odłożenia walki do lepszych czasów"... " Oddziały grupy przeszły do wsi Mamoty, gdzie złożyły broń, przynajmniej tę, której nie ukryły" "2 października. Udałem się z oficerem sowieckim do Lwowa dla rozmów z wyższym dowództwem. Przebywałem szereg dni we Lwowie. Wreszcie 15 października wyruszyłem na Dolaty koleją, a z tamąd piechotą przez Gorgany ku granicy węgierskiej, którą przekroczyłem 16 października 1939 r."

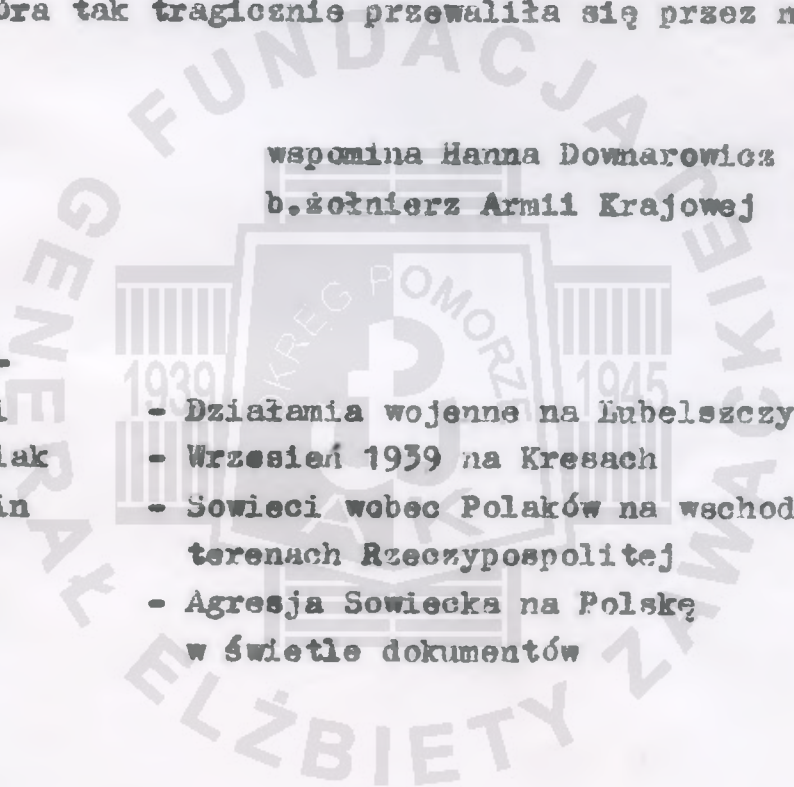
Podaję tutaj obszerny fragment wspomnień płk. Zieleniewskiego, aby pokazać przed jakimi dylematami stawali dowódcy wojsk znajdujących się w tym czasie, na tych terenach. Decyzja była nie łatwa. Ale nikt wtedy nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji jaką za sobą niesie. Nikt nie mógł przewidzieć jaką perfidią były sowieckie obietnice. Był wybór - poddać się Niemcom czy Rosjanom. Niemcy znani już byli ze swego okrucieństwa i wybór wydawał się słuszny. Taką decyzją podejmowały różne rozproszone w terenie oddziały i ci wszyscy, którzy

którzy nie zdążyli przedrzeć się na południe, do granicy węgierskiej. powracając do początkowego wątku moich wspomnień - wiem, że nie można już mieć żadnych wątpliwości co do dalszego losu moich towarzyszy, którzy pozostali we Frampolu. Dalsza ich droga to była właśnie nie ta droga tragiczna. Dzisiaj, gdy są już dostępne materiały archiwalne i dokumenty ujawnione w 1992 roku znany jest rozkaz Berii z 3-go października 1939 roku w sprawie internowanych oficerów, generałów, oraz wysokiej rangi urzędników państwowych. Wszyscy oni mieli być skierowani do Starobielska. I tak się zapewne stało. Tyle świątliwych umysłów, tylu wspaniałych dowódców a nikt nie był w stanie przewidzieć, że międzynarodowe prawo wojenne - to fikcja. Dziś już nawet nie można winić nikogo za te tragiczne decyzje. Pochylić tylko należy głowy przed historią, która tak tragicznie przevaliła się przez nasz Kraj.

wspomina Hanna Downarowicz  
b. żołnierz Armii Krajowej

Bibliografia

- Lech Głowacki - Działania wojenne na Lubelszczyźnie.
- Czesław Grzelak - Wrzesień 1939 na Kresach
- Głowacki Albin - Sowieci wobec Polaków na wschodnich terenach Rzeczypospolitej
- Kozłowski - Agresja Sowiecka na Polskę w świetle dokumentów



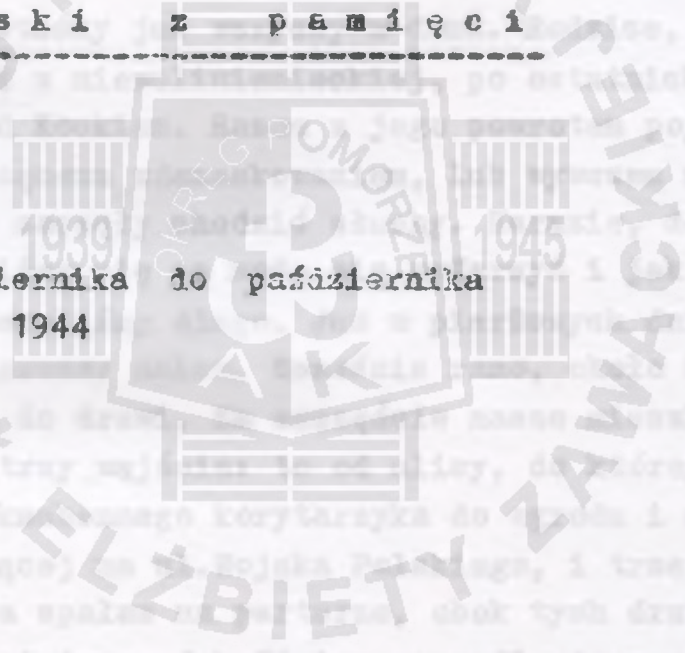
1939 - 1945 *Henno Dowiarowicz*

**FUNDACJA**  
 "Archiwum i Muzeum Pomorskie  
 Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"  
 w Toruniu

Wpłynęła dnia: *18 XI 2004*  
 L. dz.: *2836 / WSE - 412 / 04*  
 od *J. Kuczyńskiej*  
 Załącznik:  
 Prezent:

Z a p i s k i z p a m i ę c i

Od października do października  
1939 - 1944



... i dostrzegłem w nich do tych usiłowań, które Cię najbardziej  
 interesują. Opisałem więc co w tych latach wojny i okupacji robiliśmy,  
 jak żyliśmy, jak pracowaliśmy i jakie były nasze wydarzenia. To, że  
 nie udało się nam zrobić czegoś więcej, nie było w naszym planie. W kon-  
 spiracji - to było nasze zadanie. Każdy z nas miał swoje i jakichś  
 wykształceń, uniwersyteckich, barczackich -  
 i w końcu przegryść, czy może "zakwaterować".  
 W końcu naszą potrzebą, to że ustaliliśmy na ab-  
 solucie - nie było. Nie można było nie zrobić  
 czegoś w patriotyzmie, musielibyśmy się włą-  
 czyć do ruchu oporu przeciw okupantowi, do walki o przetrwanie. Nikt  
 z nas przecież nie wierzył, że nie potrwa tak długo i że tak postę-  
 ywać jak na zawołanie. Nie było to nasze zadanie, a o Rosjanach jedy-  
 nie nie myśleliśmy.

... ja no i Jurek,  
 który właśnie w tym czasie był w grupie walkach w gru-  
 pie gen. Klugego. W tym czasie pojawiło się nie-  
 śmiertelne, które miało być na roboty do  
 firmy, a było to w tym czasie pierwsze "ka-  
 walerki", które miały być w tym czasie  
 pierwszego dnia. W tym czasie miały być  
 nie przetrwały, które miały być w tym czasie  
 5-ej w tym czasie na  
 w tym czasie przy ulicy  
 w tym czasie do ulicy, do którego się właśnie  
 dotarłano, drogą z tym czasie korytarzyka do  
 i stało się w tym czasie  
 jak Jurek na pierwszym piętrze. Jak Jurek wszedł stworzył im drzwi, ja  
 wyskoczyłam z łóżka i ruszyłam się z nim samodzielną. Jurek tymczasem  
 wyszedł co się udało wyskoczył przez okno na strych dach, schował się  
 do niego do ogrodu i - w krzaki. Później drzewami przeszedł się do ulicy  
 ulicy wzdłuż ogrodu i gdzieś się zaparkował. Tak więc wykonała  
 się ta pierwsza kaperacja. Bez sukcesu dla nas. Była to nasza  
 pierwsza doświadczenia i pierwszy tryumf, który okazał się jak, przy  
 całej swej brutalności, sławny sukcesem w tym czasie i jak latem udało  
 nam się. Często tak właśnie się zdarzało, i to właśnie w wie-  
 lu przypadkach doświadczeń nas ożwił i odwrócił.

... kiedyś jeszcze kilka dni i pojawił się Staszek. Co tam  
 było z niewoli. Staszek wysiadł "w azylu". Później razem ze  
 starym spacer opowiadał sobie swoje wojenne przygody i nastawie-  
 łąc się - co robić dalej. Staszek nie mógł mieć chyba się tymczasem

/1939 - 1944/ 26 stron + przypisy 4 strony

NO i dobrnęłam wkońcu do tych czasów, które Cię najbardziej interesują. Opiszę więc co w tych latach wojny i okupacji robiliśmy, jak żyliśmy, jakie były zagrożenia a jakie zwykłe wydarzenia. To, że cała Warszawa, cała ówczesna młodzież zaangażowana była gdzieś w konspiracji - to było zupełnie naturalne. Każdy szukał dojsćcia i jakichś organizacyjnych kontaktów, szkolnych, uniwersyteckich, harcerskich. Nie było w tym żadnego poszukiwania przygód, czy prób "bohaterstwa". Robiliśmy wszyscy to co było naszą potrzebą, to co uważaliśmy za absolutną konieczność. Innej drogi - nie było. Nie można było nie robić NIC. Będąc Polakami, wychowanymi w patriotyzmie, musieliśmy się włączyć do ruchu oporu przeciw okupantowi, do walki o przetrwanie. Nikt z nas przecież nie wierzył, że wojna potrwa tak długo i że tak pozostanie już na zawsze. Niemcy muszą zostać pokonani, a o Rosjanach jeszcze nie myśleliśmy.

A więc jesteśmy już wszyscy w domu. Rodzice, ja no i Jurek, który właśnie uciekł z niewolinieckiej, po ostatnich walkach w grupie gen. Kleberga pod Kockiem. Razem z jego powrotem pojawiło się niebezpieczeństwo, grożącemu zdemaskowaniem, lub wywozem na roboty do Niemiec, o czym już zaczęły chodzić słuchy. Narazie, do pierwszej "łapanki", zastanawialiśmy się co może się wydarzyć i jak unikać niebezpieczeństwa. Nie czekaliśmy długo. Już w pierwszych dniach października przeżyliśmy pierwszy nalot. Wczesnie rano, około 6-ej obudziło nas łomonatanie kolbami do drzwi. Na szczęście nasze mieszkanie przy ulicy Towiańskiego miało trzy wejścia: to od ulicy, do którego się właśnie dobiłano, drugie z kuchennego korytarzyka do ogrodu i stale zamkniętej furty prowadzącej na ul. Wojska Polskiego, i trzecie - z salonu wprost do ogrodu. Ja spałam na parterze, obok tych drzwi od ulicy, a Jurek na pierwszym piętrze. Jak Ojciec zeszedł otworzyć im drzwi, ja wyskoczyłam z łóżka i zaczęłam się z nimi szamotać. Jurek tymczasem słysząc co się święci wyskoczył przez okno na stromy dach, zsunął się po nim do ogrodu i - w krzaki. Pomiędzy drzewami przekradł się do małej uliczki wśród ogrodów i gdzieś się zamelinował. Tak więc zakończyła się ta pierwsza łapanka. Bez sukcesów dla napastników. Było to nasze pierwsze doświadczenie i pierwszy tryumf, który pokazał nam jak, przy całej swej brutalności, Niemcy potrafią być głupi i jak łatwo można ich oszukać. Często tak właśnie o nich myśleliśmy, i to właśnie w wielu wypadkach dodawało nam odwagi i animuszu.

Minęło jeszcze kilka dni i zjawił się Staszek. On także uciekł z niewoli. Śmiesznie wyglądał "w cywilu". Poszliśmy razem na długi spacer opowiadając sobie wzajemnie swoje przygody i zastanawiając się - co robić dalej. Staszek namówił mnie abym się tymczasem

II / 10

zgłosiła jako t.zw. "ochotniczka" do Szpitala Ujazdowskiego, który mieścił się w dawnej Szkole Podchorążych w parku, obok dzisiejszej Ambasady Francuskiej. Oczywiście - zgłosiłam się. "Ochotniczka" - to trochę więcej niż salpwa, a trochę mniej niż pielęgniarka. Staszek przyprowadził do mnie rower swego nieżyjącego brata i odtąd zaczęłam codziennie jeździć do pracy do szpitala. Było tam mnóstwo rannych żołnierzy. Przydzielono mnie do sali chirurgicznej, dwunastoosobowej. Wszystkim chorym trzeba było codziennie zmieniać opatrunki, moczyć ropiejące rany w wodzie z szarym mydłem, zakładać sączi i wiele innych prac. Sam widok tych ropiejących ran był dla mnie wstrząsający. Nauczyłam się wtedy perfekcyjnie bandażować, najczęściej ręce i nogi, ale także i głowy, co było nie lada sztuką. Wszyscy chorzy bali dla nas "ochotniczek" bardzo mili. Uśmiechali się do nas, a wiedząc, że są to naogół "panienki" z dobrego domu - nie prosili nas nigdy o kaczki, czy baseny. Przepracowałam tam pewien okres czasu, aż do nawiązania kontaktu z moimi dawnymi instruktorkami z PWK i rozpoczęcia pracy w konspiracji. Przestałam więc jeździć dom szpitala i szybko włączyłam się w moje nowe obowiązki. Zaczęło się to od przypadkowego spotkania z instruktorką PWK - Katarzyną Szczurowską.

Na moim pierwszym z nią spotkaniu zostałam zaprzysiężona. Taka przysięga to wielkie przeżycie. Zrobiła też na mnie wielkie wrażenie. A słowa tej przysięgi o miłości i wierności ojczyźnie to naprawdę wielka rzecz. Gdy powtarzałam za Katarzyną słowa "... i kładę rękę na ten święty krzyż" - to głos mi się załamał. Nikt nigdy nie zwolnił nas z tej przysięgi a "Miedźwiadek" - ostatni komendant Armii Krajowej po Powstaniu Warszawskim, Generał Okulicki, jeden ze zdradziecko wywiezionej do Moskwy "szesnastki", polecił nam wszystkim w swoim ostatnim rozkazie abyśmy do końca byli tej przysiędze wierni.

Zaczęło się powolne wciąganie mnie do nowych, początkowo sporadycznych obowiązków. Znosiłam krótkie liściki źiasane na bibułkach do różnych nie znanych mi osób. Adresy trzeba było zapamiętywać. Ze względu na bezpieczeństwo - nic nie wolno było notować. Nauczono mnie że nie wolno się rozglądać szukając adresu i że nie wolno nikogo o nic pytać. Trzeba było jednak pilnie obserwować czy ktoś za mną nie idzie. Lokale miały swoje kryptonimy. "Baletniczki" - bo była tam w pobliżu szkoła baletowa, "pluskwy" - bo rzeczywiście były tam pluskwy, "doktór" - bo piętro niżej jakiś doktor wywiesił swoją tabliczkę. Były także dla różnych lokali różne, dość naiwne, środki ostrzegawcze. Czasem jednak i one skutkowały. Doniczka postawiona na oknie może być w każdej chwili przesunięta. Firankę w oknie można zasłonić, gdyby była rewizja, lub "kocioł". Te proste napozór środki wielokrotnie poskutkowały i uchroniły nas od wejścia do mieszkania, w którym już byli Niemcy. W takim "kotle" potrafili siedzieć po kilka dni, aby jeszcze kogoś złapać.



Moja praca w konspiracji zaczęła się powoli rozwijać. Po tym pierwszym okresie sporadycznego roznoszenia listów skierowano mnie do działu łączności kurierskiej. Prowadziła go Irena Stankiewicz Wyrębowska - pseudonim "Patrycja". Poszłam pod wskazany adres, przy ulicy Wilczej 9. Otworzyła mi niewysokiego wzrostu starsza pani w okularach. Była brzydka, miała jakieś skrzywienie w twarzy, ale miała tak ujmujący i życzliw uśmiech, że od razu zdobyła moją sympatię. Wciągnęła mnie szybko do przedpokoju i zamknęła za mną drzwi. W pokoju wypytała mnie o moją dotychczasową pracę i powoli zaczęła mnie wtajemniczać w moje nowe zadania. Mam być kurierką. Na początek mam pojechać do Kielc, oddać pocztę pod wskazany adres i szybko wracać do Warszawy. Powiedziała mi jak się mam w drodze zachowywać, jak unikać "łapanek", no i, że od tej chwili mogę już liczyć tylko na siebie samą, i własną orientację, w sytuacjach jakie się mogą zdarzyć. W żadnym wypadku "poczta" nie może wpaść w obce ręce.

Ta pierwsza podróż minęła bez przygód. Do Kielc dotarłam późnym wieczorem i tuż przed godziną policyjną udało mi się dotrzeć pod wskazany adres, na Biskupiej Górze. Moi adresaci byli to przemil ludzie. Przyjęli mnie jak dawno oczekiwanego gościa, członka rodziny. Zatrzymali mnie oczywiście na noc. Do Kielc wyjeżdżałam jeszcze kilka razy ale już nie do tego miłego domu. Jeździłam także do Krakowa i do Łodzi, która była na terenie wcielonym do Reichu. Jadąc do Łodzi wsiadłam, jak mi poradzono do niemieckiego wagonu. Tak podobno było bezpieczniej, chociaż papierów żadnych - nie miałam, to znaczy, że nie miałam żadnych niemieckich dokumentów. Jechali ze mną trzech oficerowie, którzy zabawiali mnie rozmową, głośno rechocąc, opowiadając jakieś tłuste dowcipy, których oczywiście - nie rozumiałam. Uczyłam się przez jakiś czas niemieckiego tak że umożliwiało mi to jaką taką rozmowę. Na tej linii były systematyczne "łapanki", nastawione głównie na szmuglerów, ale i kurier mógł się w to przypadkiem zaplątać. Byłam świadkiem takiej "łapanki". Zatrzymali pociąg dłużej na stacji i najpierw rewidowali wszystkich, przedział po przedziale, a potem kazali wysiąść szeregu osobom, tym których przyłapali na szmuglu i być może podejrzanym także o coś innego. Ja przyglądałam się niby obojętnie, ale wszystko we mnie wrzało. Swoją pocztę miałam ukrytą w pudełku czekoladek, które ostentacyjnie postawiłam na stoliku, pod oknem. Nic mi zresztą nie groziło, bo w niemieckich wagonach rewizji przecież nie robiono. Tego sposobu z czekoladkami już więcej nie stosowałam. A to siedzenie w jednym przedziale ze Szkopami, było dla mnie szczególnie obrzydliwe, no i myślę, że przecież także niebezpieczne.

Ostatnia moja wyprawa była szczególnie niebezpieczna, bo do Lwowa, który był pod okupacją sowiecką, jeszcze przed wybuchem wojny z Niemcami. Ostrzeżono mnie, że we Lwowie muszę być szczególnie ostrożna. Sowieci byli wszak mistrzami wszelkiego kamuflażu i skłócania wszystkich ze wszystkimi. Były tam trzy organizacje konspiracyjne. Jedna prawdziwa - nasza, druga robiona przez Rusków, a trzecia - przez Ukraińców. Te dwie ostatnie szczególnie groźne i podstępne. Bałam się więc od samego początku, chociaż miałam lipne papiery i przepustkę, ale rosyjskiego - nie znałam, a i "bukwów" czytać nie potrafiłam. Zdana byłam na własne siły i własną pomysłowość i intuicję. Jedyłą moją pociechą było, że ktoś ma na mnie czekać. Z kwiatkiem. Bo na dziewczynę zawsze można na dworcu - czekać z kwiatkiem. Ja miałam oczywiście jakieś hasło w odpowiedzi na zapytanie, ale już nie pamiętam jakie. Nikogo jednak z kwiatkiem nie widziałam. Rozglądałam się dyskretnie czas jakiś. A tu sporo Rusków a jeszcze więcej zastraszonych ludzi siedzących po kątach, czekających na nie wiadomo jaki pociąg. Nie wiedziałam co mam robić. Nikogo o nic pytać nie mogłam. Rozglądać się zbyt długo także nie byłam bezpiecznie. Po dłuższym czasie namyślając się - wyszłam z dworca, bez żadnego planu, co mam robić dalej. Było wczesne popołudnie. Miałam sporo czasu, bo pociąg do Warszawy, którym zamierzałam wracać, odchodził dopiero następnego dnia rano. Przypominałam sobie, że mam tu znajomą z Żeglarskiego obozu w Jastarni, Lesię Brzuchowską. Byłam u niej rok temu, we Lwowie. Mieszkała przy ulicy Kleparowskiej nr.20, ale zupełnie nie pamiętałam jak się do niej idzie. Nie wiedziałam jak do niej trafić. Lwowa - nie znałam. Kupno planu nie miało sensu, bo napewno byłoby w "bukwach", jeśli wogóle coś takiego było. Chcąc nie chcąc - musiałam pytać ludzi, chociaż mówienie po polsku było już wtedy niebezpieczne. W końcu jakoś się dopytała i dotarłam pieszo do Lesi. Powiedziałam jej jakieś zmyślane kłamstwo na temat mojego przyjazdu do Lwowa, przenocowałam u niej i następnego dnia wyjechałam już bez przeszkód do Warszawy. Sprawy - nie załatwiłam Okropnie byłam tym przejęta i zmartwiona, ale przecież nie mogłam postąpić inaczej. Okazało się, że nie mogłam zrobić nicz rozsądniejszego, niż natychmiastowy powrót do Warszawy. Tam właśnie była wyspa, o której nie można było mnie zawiadomić. Mogłam więc wpaść w ręce Rusków razem z tajnymi materiałami. Za moje nie wywiązanie się z powierzonego zadania - pochwalono mnie zamiast - zganić. Katarzyna powiedziała mi, że lepiej wrócić z niczym niż nie wrócić wcale, albo naprowadzić na swój ślad "cienia". Ten wyjazd do Lwowa - to była moja ostatnia kurierska wyprawa. Potem przeniesiono mnie już do "Berty", Jeszcze wtedy nie wiedziałam jaka to jest komórka

11 | 13

Co się w międzyczasie działo w moim domu i z moimi przyjaciółmi - muszę potrochu opisać, jako taki "przerywnik". Trudno mi zachować jakąś rozsądną chronologię wydarzeń będą się więc w dalszym ciągu przeplatać różne wątki i w różnym czasie. Tak jak mi się powoli w pamięci odkrywają.

Jurek, mój brat, jeździł w tych czasach do Łodzi, tak jak wiele ówczesnej młodzieży. Trochę w celach handlowych, a trochę rozpoznawczych. Przywożono wtedy z łódzkich fabryk pończochy. Zaowocowało to niespodziewanie nową znajomością, więcej nawet - sympatią i niemal zaręczynami. Poznał tam prześliczną dziewczynę - Irenkę Sawicką. Naprawdę była bardzo ładna i miała masę wdzięku. Te zaręczyny były rzeczywiście blisko. Ale Jurek miał jeden główny cel przed sobą. Wyjechać na zachód i przyłączyć się do polskich oddziałów, formujących się we Francji. Jedną nieudaną próbę zrobił już w listopadzie. Następna w styczniu 1940 roku zakończyła się sukcesem. Przedostał się na Węgry, potem do Anglii Francji a w końcu do Anglii. Tam wstąpił do Marynarki Wojennej i potem, przez całą wojnę pływał na O.R.P. - "Garlandzie".

Tymczasem całą rodzinę państwa Sawickich wysiedlono z Łodzi, przenieśli się więc do Warszawy i zamieszkali blisko nas przy Alei Wojska Polskiego. Irenka miała brata, Władka. W przeciwieństwie do niej - był śmiertelnie brzydki. Natura wyraźnie wysiliła się na jedno tylko dziecko. Władek za to był ogromnie muzykalny. Grał wspaniale na fortepianie i akordeonie. Często przychodzili do nas oboje a Władek podbił swoją muzyką serce mojej Matki. W domu ich odbywały się częste i głośne spotkania z muzyką. To go właśnie zgubiło. W dzień imienin Władka, w dniu 27 czerwca 1940 roku wygarnęli z domu całą męską młodzież. Władek został wywieziony do Oświęcimia. Mieliśmy wszyscy nadzieję, że ta jego muzyka uchroni go jakoś od najgorszego. Przecież Niemcy podobno kochają tak bardzo muzykę. Niestety w pół roku później przyszło zawiadomienie o jego śmierci.

Staszek był już głęboko zaawansowany w pracy ale wszystkie wolne chwile spędzał ze mną. Jeździliśmy razem do pobliskich wiosek na rowerach, poróżne wiktuały, aby uzupełniać skromne domowe zapasy. Przywoziliśmy wielkie wory z różnymi produktami, przewieszane przez ramy rowerów. Były to zwykle kartofle i owoce, których brak było zupełnie w Warszawie. Jeździliśmy także na długie spacery do lasu bieleńskiego i do Młocin. Piękne to były spacery i, mimo wojny, beztroskie i radosne. Była jednak nadzieja, że to musi się szybko skończyć, a wtedy - to - ho, ho - jak to będzie wspaniale. Nigdy nie mówiliśmy o miłości ani o małżeństwie. Nie był to czas na to. Prostu kochaliśmy się i stąd czerpaliśmy także naszą otuchę. Ale wracam do moich spraw konspiracyjnych. Jak pisałam - przeniesiono mnie do Berty.

11/19

Nie odrazu dowiedziałam się co to za komórka. Nikt nikogo nie wtajemniczał w arkana całej organizacji. Nie odrazu dowiedziałam się jakie będą moje zadania. Panowała zasada: im mniej będziesz wiedzieć tym lepiej, tym mniej będziesz narażona ty sama i twoja wiedza na niebezpieczeństwo. Nigdy zresztą nie usiłowałam się dowiedzieć więcej niż to co mi sama szefowa powiedziała. Stopniowo jednak, przez codzienne kontakty i rozmowy zaczęłam się lepiej orientować w strukturze całości. Resztę wiedzy uzupełniłam już po wojnie, a zwłaszcza z doskonałej książki Ney-Śwawicza pt. Komenda Główna Armii Krajowej./komórka Berty była jedną z głównych ogniw łączności Komendy Głównej/. Warto wałam tę książkę nie tylko poto aby pamięć wzbogacić i odświeżyć, ale aby Tobie lepiej wytłumaczyć na czym ta nasza "konspira" polegała. Wie przecież, że Ty nigdy do takich opracowań nie zajrzysz. Postaram się więc wytłumaczyć jak najlepiej jak ta nasza organizacja wyglądała.

Jednym z pierwszych zarządzeń okupanta był nakaz oddania wszystkich radiodbiorników. Nie wolno było słuchać radja. Nikt nie powinien wiedzieć co się naprawdę w świecie dzieje. Na większych placach Warszawy zainstalowano głośniki, t.zw. "szczekaczki". Z nich właśnie mieliśmy czerpać informacje o wspaniałych zwycięstwach niemieckiego wojska. Radia oczywiście, w długiej kolejce, oddaliśmy. Staszek zachował jednak swoje małe amerykańskie radyjko. No i zaczęło się potajemne słuchanie, w jego pokoiku na poddaszu. Spisywaliśmy te wiadomości i wielokrotnie przepisywaliśmy, roznosząc je potem do różnych komórek i zaufanych osób. Ja zabierałam oczywiście cały plik na moją pocztę, do Berty. Audycje nadawane były z Londynu w określonych godzinach. Zapowiadane były charakterystycznym sygnałem: "puk puk puk - puuuuk" i słowami "tu mówi Londyn". Było to bardzo podniecające, budzące wiarę i nadzieję, że nie jesteśmy samctni. Z takich nasłuchów powstawały pierwsze konspiracyjne gazetki.

Wracam jednak do przerwane go wątku, do naszej organizacji. Już w październiku 1939 roku została utworzona Służba Zwycięstwa Polce. Inicjatorem powołania jej był gen. bryg. Michał Karaszewicz-Tokarzewski. Naczelnym wodzem w tym momencie był mianowany przez Rydzę-Smigłego, który został internowany w Rumunii, - gen. Sosnkowski, przebywający w tym czasie we Francji. Ustalił on, że w tym czasie konieczne jest utworzenie dwóch komend w kraju: dla okupacji niemieckiej w Warszawie, z gen. Roweckim na czele i drugi dla obszaru lwowskiego, który miał objąć gen. Tokarzewski. Niestety w marcu 1940 roku, przy przekraczaniu granicy, został aresztowany. Na przełomie 1939 i 1940 roku SZP została przekształcona w Związek Walki Zbrojnej, a następnie w lutym 1942 roku - w Armię Krajową. Dołączyło do niej wiele oddziałów bojowych, różnych organizacji politycznych. Ja całą czas pracowałam w tych przekształcających się kolejno organizacjach : SZP, ZWZ i w końcu w AK.

Organizacje te ogarniały wszystkie dziedziny państwowego życia. To było całe podziemne państwo, ze wszystkimi swymi agendami. Był rząd - delegatura polskiego rządu w Londynie. Były partie polityczne, o powiedniki przedwojennych partii politycznych, no i oczywiście - armia. Aby te wszystkie organa mogły działać i porozumiewać się ze sobą - potrzebna była rozległa sieć łączności. Sieć - rozległa jak pajęczyna. Potrzebne były rzesze łączniczek, kurierek, potrzebne były lokale na spotkania, drukarnie, wywiad, ochrona. Trudno nawet wyliczyć to wszystko. A wszystko musiało działać w porozumieniu i stałym kontakcie z odpowiednimi agendami w Londynie. Z dyrektywami z jednej strony i szczegółowymi informacjami o tym co dzieje się w kraju - z drugiej. Bez ogromnej ilości ludzi współpracujących lub tylko służących swoimi lokalami, bez tej rzeszy łączniczek i kurierek, byłoby to poprostu niemożliwe. Ta sieć łączności składała się z małych, przeważnie pięcioosobowych komórek, które łączyły się następnie z innymi komórkami, ogarniając w końcu cały kraj. Najpotężniejszą i największą była oczywiście - ARMIA. Skupiała przedewszystkim oficerów Wojska Polskiego, członków różnych organizacji paramilitarnych jak przysposobienie wojskowe /PW/, przysposobienie wojskowe kobiet /PWK/, harcerstwo i inne. Cała struktura jaka się ostatecznie ukształtowała opierała się na układzie sił zbrojnych w przedwojennej Polsce:

I-szy Oddział Sztabu - organizacyjny, kierowany aż do końca wojny przez płk. Antoniego Sanojcę, pseudonimy kolejno - Knapik i Kortum. Oddział ten prowadził sprawy personalne, kontakty z różnymi organizacjami, kontakty z więźniami itp. Jednym z ogromnie ważnych działań był dział legalizacji. Wyrabiano tam wszelkie dokumenty, różne "fałszywki", Arbeitskarty itp.

II-gi Oddział Sztabu - wywiadowczy i ochronny, oraz kontrwywiad. Szefami byli kolejno płk. Wacław Berk - ps. Brodzicz, oraz płk. Mariań Drobiński ps. Dzieciot.

III-ci Oddział Sztabu - jeden z najważniejszych - operacyjny. Kierowany początkowo przez płk. Jana Albrechta, a po jego aresztowaniu przez płk. Tadeusza Pełczyńskiego, ps. Grzegorz.

IV-ty Oddział Sztabu - kwatermistrzowski. Kierowany przez płk. Adama Switalskiego, a od wiosny 1943 - przez płk. Zygmunta Miłkowskiego - pseudonim - Dąbrowa.

V-ty Oddział Sztabu - Komenda Główna. Opiszę ją dokładnie w dalszym ciągu "zapisków" - bo tam właśnie ja pracowałam.

VI-ty Oddział Sztabu - polityczno propagandowy pod nazwą "BIF" - Biuro Informacji i Propagandy. Dom tego działu został przeniesiony z Komendy Głównej - opiszę go więc również dokładnie w dalszym ciągu.

VII-my Oddział Sztabu - biuro finansów i kontroli, kierowane przez cały czas przez płk. Stanisława Thuna, pseudonimy kolejno : Leszcz i Malcz.

Poznałam go prywatnie w domu państwa Sosabowskich, jeszcze przed wyjeźdem

116

ojca Staszka do Londynu. Jemu właśnie zawdzięczam chyba to, że zostałam skierowana do pracy właśnie w Komendzie Głównej, jako osoba zaangażująca w pełni na zaufanie. Oddział ten prowadził całą księgowość organizacji zarówno złotówkową jak i dolarową. Prowadził także podziemną produkcję banknotów, oraz dział produkcji różnego rodzaju skrytek stałych i przenośnych. Ja miałam w domu taką właśnie skrytkę w postaci wysokiego stołka pod kwiaty. W Oddziale tym została zorganizowana i wykonana błyskotliwa akcja napadu na niemiecki konwój przewożący pieniądze. Jeden milion złotych. Płk. Krzysztof Kumor opisał tę akcję w swojej książce p.t. "Wycinek z historii jednego życia". Czyta się to jak najlepszy kryminał z sercem napełnionym radością, że ta historia jest prawdziwa.

Jeszcze jednym działem pracy była Komenda Dywersji - Kedyw Odpowiednika w przedwojennej strukturze armii oczywiście - nie miała. Funkcję komendanta Kedywu - pełnił od 1942 roku płk. August Emil Fieldorf - pseudonim - "NIL". To właśnie dla uczczenia jego pamięci została utworzona fundacja jego imienia, którą ja przez parę lat kierowałam. Szefem Kedywu okręgu warszawskiego był z kolei dr. Józef Rybicki ps. Andrzej. Był to bezpośredni szef Staszka. Znałam go dobrze i często, po wojnie, po jego wyjściu z więzienia, odwiedzałam.

Wreszcie przegodzę do bardziej szczegółowego opisu Komendy Głównej. Była w niej dwa odrębne piony: wydział łączności konspiracyjnej, której szefem była Janina Karasiówna pseudonimy kolejne - Bronka, Henryk Kościeszka, HK, a drugim pionem był wydział łączności operacyjnej, której szefem był Kazimierz Pluta Czachowski, ps. Kuczaba. Obydwa te działy ściśle ze sobą współpracowały. Ja pracowałam w tym pierwszym pionie, który organizacyjnie podlegał "Bronce". Wydział ten był ogromny i dzielił się na następujące ~~wydziały~~ pododdziały: Kancelarię Główną, Dział łączności wewnętrznej, Dział łączności zagranicznej, Dział łączności Kurierskiej, biura szyfrów krajowych i zagranicznych, dział legalizacji, dział finansów i inne, jak opieka socjalna, werbunek, szkolenie. Z samego tego wyliczenia widać jaka to była ogromna organizacja samej tylko Komendy Głównej. Cóż dopiero mówić o strukturze całej podziemnej armii i podziemnego państwa.

Ja pracowałam w dziale łączności wewnętrznej. Z czasem wykształciły się w niej trzy działy: Centrala pocztowa Komendanta Głównego o kolejnych kryptonimach - "Astry", potem "Pudle" a w końcu ~~KASZKI~~ "Kaszki", druga centrala - to Poczta Główna o kolejnych kryptonimach - "Begonia", "Kundle" i "Bekasy". Trzecia centrala - to poczta Szefa Sztafu - o kryptonimach kolejnych - "Cykoria", "Ogary" i w końcu ~~KASZKI~~ "Kosy". Ponieważ cały obieg poczty szedł przez pocztę główną - ukształtował się zespół kryptonimów łatwych do zapamiętania - A.B.C., później Pe-Ka-O, a pod koniec maja 1944-go roku - Ra-Be-Ka. Pierwszy symbol oznaczał zawsze pocztę Komendanta Głównego.

22

którą przez cały czas okupacji kierowała Jadwiga Piekarska - pseudonim - "Basia. Drugą literą, oznaczona była poczta główna, którą także przez cały czas kierowała Janina Sipko - pseudonim - "Berta". Trzecia litera oznaczała pocztę Szefa Sztabu, którą kolejno kierowały - "Wanda" "Maryla" i pod koniec - "Ela". Bliższych danych nie podaję, bo miałam z tą pocztą najmniej do czynienia. Naogół do nas właśnie przychodziła łączniczka tej poczty - "Renia" /nazwiska jej nie poznałam/.

Ja pracowałam w "Begonii", u "Berty". Z tą pocztą i jej łączniczkami miałam najwięcej do czynienia, i najbardziej się z nimi zaprzyjaźniłam. Było nas pięć: "Monika" - Alinka Obrąckiewicz, "Wika" - Marychna Krumholtz, "Olga" /nazwiska jej nigdy nie poznałam/ no i nasza szefowa - "Berta" - Janina Sipko. "Berta" chodziła rano na pocztę Komendanta Głównego, Monika - do sekretariatu Komendy Głównej, do Bronki, a my pozostałe łączniczki przychodziłyśmy na naszą Begonijną pocztę po codzienne polecenia i na roznoszenie dalej poczty przyniesionej przez Bertę i Monikę. Do nas, jak już pisałam przychodziła regularnie łączniczka Szefa Sztabu, z poczty "Cykoria". Przynosiła pocztę od Szefa Sztabu do wszystkich innych komórek i zabierała to co było od nas - do Szefa Sztabu, od Komendanta Głównego. Poczta nasza stanowiła zasadnicze ogniwo łączności pomiędzy głównymi ośrodkami konspiracji. Po rozdzieleniu "poczty" - biegaliśmy po całej Warszawie, roznosząc listy, a potem ponownie spotykaliśmy się z Bertą pod koniec dnia, przynosząc jej listy z innych działów pracy do Komendanta Głównego, Szefa Sztabu i do Bronki. Tak właśnie działały nasze kryptonimowe "poczty" - ABC, PKO i w końcu Re-Be-Ka. Taki był nasz każdy dzień podobny jeden do drugiego. Niektóre tylko wydarzenia odróżniały je od siebie, no i lokale w których spotykaliśmy się zmieniały się oczywiście - codziennie.

Opiszę Ci teraz dokąd zazwyczaj chodziłam no i co przносиłam. Co to była t.zw. - "poczta". Nie były to listy w kopertach - ale małe, pisane na bibułkach, krótkie, lakoniczne informacje. Czasami były pojedyncze gazetki lub komunikaty dla innych komórek. Naogół nie było tego dużo, ale oczywiście wszystko było bardzo ważne i tajne. Była zresztą szczegółowa instrukcja jaka powinna być ta korespondencja. Nosiliśmy to w torebkach, portfelach z podwójnymi podszewkami it. Były także te "skrytki" - o których pisałam. Pozornie były prymitywne, ale w wielu wypadkach skuteczne. Jedną z takich skrytek była rozkręcana szczotka dom ubrania, inną - kuchenka elektryczna z odkręcanymi nożkami. Powstawała w ten sposób duża przestrzeń na schowanie poczty. Ta właśnie skrytka weszła do historii i jest w wielu książkach opisana. Łączniczka "Dagna" - wpadła w t.zw. "kocioł". Był to zwykły gabinet dentystyczny, do którego mógł przyjść każdy. Niemcy siedzieli tam już od kilku dni, trzymając pod bronią wszystkich pacjentów. Dagna

została oczywiście zatrzymana, a kuchenka którą niosła niby do reperacji została przekazana do rekwizytów więziennych. Dzięki naszym kontaktów w więziennictwie, którymi zajmowała się specjalna komórka, kuchenka została podmieniona na zwykłą, a Dagna, której nie można było nic zarzucić, po jakimś czasie została zwolniona z Pawiaka.

Teraz opiszę dokąd chodziłam, jakie były moje stałe punkty kontaktowe. Jednym z pierwszych - były "Fiołki". Kontakt z nasłuchem radiowym, który owocował m.in. codziennymi komunikatami. Drugi, dla mnie najważniejszy, to komórka poczty zagranicznej i obsługi kurierskiej. Prowadziła tę pocztę "Marcysia" /Kamila, Miłasia, Zenobia/. Ona bardzo mnie lubiła i chołubiła. Bardzo mi to pochlebiało, bo była to jedna z najważniejszych komórek Komendy Głównej. Często miałam także kontakty z podległym jej bezpośrednio "Kotwiczem", który zajmował się bezpośrednią ekspedycją kurierów. Dzięki tym kontaktom wciągnęłam w późniejszym czasie Hankę K., która znała bardzo dobrze język niemiecki i francuski a uczyły się właśnie angielskiego. Często także chodziłam do "Malcza" /płk.Thun/nosząc w obie strony pieniądze i walutę, głównie dolary. Dzięki temu w przypadkowy sposób poznałam Twego Tatę, ale o tym napiszę później bardziej szczegółowo. Chodziłam także na pocztę BIP-u do "Rysi". Ten kontakt także zaowocował dalszymi wydarzeniami, bo zostałam później właśnie do BIP-u przeniesiona. Utworzono specjalną komórkę, którą ja właśnie prowadziłam, komórkę podległą bezpośrednio sekretariatowi BIP-u - Elsbiecie i samemu Prezesowi. Ta nowa poczta obsługiwała TWZW - czyli Tajne Wojskowe Zakłady Wydawnicze, drukarnie, kolportarz, akcją "H" /dywersja na tyłach wroga/ no i moją Komendę Główną. Oprócz tych stałych kontaktów miałam oczywiście różne doraźne polecenia, zwłaszcza te bardzo pilne, bo ja, jeżdżąc na rowerze, mogłam je najszybciej załatwić.

Na naszą pocztę do "Begonii" - przychodzili także adiutanci Komendanta Głównego. Jego ochrona. Byli to "Adam Gruda" i "Szymon". Adam został aresztowany i zginął tragicznie w nieznanych okolicznościach w 1941 roku. Z Szymonem miałam częste kontakty aż do wybuchu powstania. Był to oficer żandarmerii, osobista ochrona Komendanta. On właśnie narażony bywał na największe niebezpieczeństwa. Każde jego przyście dom nas zapowiadało jakieś pilne i ważne zadania. Po aresztowaniu Grudy, przychodził do nas razem z Szymonem jego współpracownik, również oficer żandarmerii - "Kazik". Dla bezpieczeństwa chodzili zawsze we dwóch. W czasie ewakuacji Starego Miasta w czasie Powstania właśnie dzięki Kazikowi udało mi się wyprowadzić Tatę kanałami, razem z grupą Komendy Głównej, do której ja miałam przepustkę. Kazik właśnie pilnował ewakuacji wypuszczając pojedynczo do wyjścia do kanału na placu Krasieńskich. Ale o tym napiszę w następnym rozdziale.



W czasie moich codziennych wędrówek po mieście miałam oczywiście rozmaite przygody. mniej lub bardziej niebezpieczne, a czasami nawet. humorystyczne, jak ta, o której tak często ze śmiechem opowiadałam. Pamięć ludzka jest wybiórcza. Jest jakoś tak, że mamy zdolność zapominania o wydarzeniach tragicznych, a te - humorystyczne pozostają na długo w pamięci. Do dziś uśmiecham się sama do siebie jak myślę o tamtej przygodzie. Było gorące lato. Szłam, z grubą paką poczty pod pachą, - ul. piękną w stronę ulicy Marszałkowskiej, od Alei Ujazdowskich. Dzień był piękny i wydawało się - spokojny. Doszłam do Marszałkowskiej. Na ulicy dziwnie pusto. Spojrzałam w prawo - buda, a do niej pakuja ludzi, przechodniów. To dlatego wydawało mi się, że jest tak pusto. Jedni, widząc co się święci, zdążyli uciec, a inni byli już niestety w tej budzie. Zorientowawszy się co się dzieje skręciłam w najbliższą bramę, do pasażu kina "Polonia", który tak jak dziś miał wyjście na ulicę Piękną. W bramie, przy stoliku, siedziało trzech gestapowców. Zaczepnęłam głęboki oddech, czekając na najgorsze.... i pękła mi gumka w majtkach, które opadły na posadzkę. Głęboki rechot żandarmów speszył mnie. Ale co miałam robić? Schyliłam się, podniosłam majtki, zwinęłam je w rękę i wyszłam z duszą na ramieniu, nie zatrzymywana przez nikogo. Rechoczący śmiech żandarmów długo jeszcze miałam w uszach, a nogi drżały mi jeszcze długi czas potem.

Oni urządzali nam krwawe łapanki i wywózki do obozów, ale i my staraliśmy się jakoś im zrewanżować. Ale czym? Dowcipem, zamieszaniem, prowokacją trudną do wykrycia, a nas napawającą pustym śmiechem i radością. Niezależnie od komórki "H", której sadaniem było szeregzenie rozkładu psychicznego w armii niemieckiej. Osłabianie "morale" żołnierzy, skłócanie wojska z policją i Gestapo. Urządzano także lokalne akcje, które w niektórych miastach spowodowały spore zamieszanie i bezsilną wściekłość Niemców. Na jedną z takich akcji natknęłam się sama idąc rano na pocztę do Bertyn na ulicę Wiejską. A tu właśnie około 9-ej, ogromne zbiegowisko koło gimnazjum Królowej Jadwigi, na placu Trzech Krzyży. Gromada Niemców w cywilu, z walizami, gromadą odprowadzających, płaczących kobiet. Był to sfingowany przez "konspirę" - pobór folksdojczów do wojska, na front wschodni. Wydrukowane "powiastki", koperty opieczętowane "gapa", zdobyte adresy "foksów" i rozesłano te listy podając datę i godzinę werbunku. Można sobie wyobrazić jakie to zrobiło zamieszanie wśród urzędników, dom których zgłaszali się rzekomi "poborowi". Drugą taką głośną akcją było podłączenie się do megafonów na placu Wilsona, do t.zw. "szerekaczki", o zwykłej porzenadawanego w południe komunikatu z frontu wschodniego. Zebrał się tłum ludzi, którzy zorientowali się, że to nie może być naprawdę niemiecki komunikat. Radość była ogromna. Takie akcje podnosiły na duchu, dawały całemu społeczeństwu odrobinę wesela i wiary, że jednak coś się i u nas dzieje.

W nieco późniejszym czasie miałam następną, nieco groźniejszą orzygodę, która mogła mieć nieoczekiwane konsekwencje, skończyła się jednak tylko tym, że musiałam się wyprowadzić z domu, na dłuższy okres czasu. Moi Rodzice i ja najedliśmy się strachu co niemiara. Żeby opowiedzieć tę historię - to muszę się wrócić do moich osobistych kontaktów tpwarzyskich, nie wiążących się z moją pracą.

Moje codzienne bieganie kończyło się naogół w godzinach popołudniowych. Potem zazwyczaj spotykałam się ze Staszkiem, oczywiście tylko wtedy, gdy nie miał jakichś zaplanowanych akcji. W początkowym okresie pomagałam mu często w robieniu jakichś rekwizytów jak na przykład opaski ze swastyką, lub legitymacje z napisem dużymi gotyckimi literami "POLIZEI". Staszek udawał często niemieckiego żandarma, ale do czego, tak naprawdę, było mu to potrzebne - to nie wiedziałam. Nie pytałam o to nigdy. O nic wzajemnie nie pytaliśmy się. Zawsze w myśl tej samej zasady - im mniej wiesz - tym lepiej dla siebie i dla innych. W późniejszym czasie załatwiałam dla Staszka różne potrzebne dokumenty mając do tego łatwiejszy dostęp i przyzwolenie. Niedziele spędzaliśmy zwykle razem na dalekich spacerach nad Wisłą z psem / staszek miał olbrzymiego angielskiego doga/, a popołudniu często na grze w bridża u niego w domu lub u Krystyny Jakubowskiej. Mieszkała w willi na rogu Felińskiego i Mierosławskiego z bratem Krzysztofem i ciotką, młodą śliczną - Zośką. Rodzice wyjechali do Rumunii, dom był pusty i służył za melinę dywersyjnej grupy żoliborskiej dowodzonej przez Staszka, noszącego pseudonim "Stasinek". Do wydarzeń związanych z tym domem jeszcze wrócę. Jestem z nimi, bez mego udziału silnie związana ale przez długie lata nie mogłam nikomu o tym opowiedzieć.

Prócz kontaktów ze Staszkiem spotykałam się z grupą żeglarzy. Na Żoliborzu, przy al. Wojska Polskiego 19 mieszkali trzech AZM-niaków: Sławu Zagórski /brat poety Jerzego Zagórskiego/, t.zw. "Słoń", rzeczywiście wielki jak słoń, ale przy tej swojej olbrzymiości - ogromnie nieśmiały i gołębiego serca. Brugi - to Adam Gruszecki, kolega Twoego Tatę ze Lwowa, a trzeci Zienkiewicz, którego przedtem nie znałam. "Słoń" zajmował się szkleniem okien w kościołach, a ci dwaj pozostali pracowali w niemieckiej firmie "Bacuki-Ostrówek". W Ostrówku była własciwa fabryka żelaza, czy też broni, w Warszawie - biura. Mieszkanko mieli maleńkie, pokój z kuchenką i łazienką, w suterynie. Zbierało się u nich zawsze dużo żeglarzy i była wspaniała bestroska atmosfera, często zakrapiana alkoholem. Żeglarze z "pod 19-ki" stanowili rodzaj opiekunkczej mafii, nie tylko dla swojego grona, lecz także dla wszelkich osób "spalonych". Zawsze udawało się im znaleźć pracę w Warszawie lub na prowincji, a często także i bezpieczne lokum. Było to niesłychanie cenne. Ja chodziłam do nich często, zwłaszcza wtedy gdy później wracałam do domu. Mieszkałam wszak początkowo na tej samej ulicy i było mi po drodze. Wystarczyło wysiąść o przystanek wcześniejszej.

Pewnego wieczoru - zasiaduałam się, wyszłam parę minut po godzinie policyjnej. Wtedy w pełni lata, była to godzina 10-ta. Mieszkałam już w tym czasie na Podstarościch a więc miałam dość, daleko do domu. Było szybko przejść przez szeroką Aleję Wojska, to dalej na małych uliczkach będą się czuć bezpieczniej. Zawsze mogę wpaść do jakiegoś ogródka, niby to do własnego domu. Na ulicy było pusto. Szłam szybko i pewnie, aby jak najszybciej ominąć niebezpieczną strefę. Aby jak najszybciej dojść do ulicy Felińskiego. Niestety. Gdy już mijałam drugą jezdnię Alei Wojska - zobaczyłam dalekie światła samochodu, jadącego w moim kierunku. Niemcy. Przyspieszyłam kroku i sądząc, że mnie nie zauważyli, wpadłam w ulicę Felińskiego, puściutką i ciemną zupełnie. Samochód skręcił za mną, minął mnie, zatrzymał się przy chodniku. Wyskoczył z niego czarno ubrany oficer, zapewne gestapowiec, stanął przedemną na rozkraczonych nogach i wymownie pokazał na zegarek. Nie wiedziałam co robić. Byłam lekko ubrana a pod pachą - bibuła. Nie mam gdzie jej schować. Zaczęłam robić niewinne niewinne minki głupiej idiotki. Powiedziałam, że idę właśnie do domu i, że to jest tuż tuż, bardzo blisko. Złapał mnie za rękę i powiedział, że to on zawiezie mnie do domu. Zgłupiałam. Ale on szybko złapał mnie za rękę i wciągnął do samochodu. Opierałam się jak mogłam, ale nie miałam innego wyjścia. Przygotowałam się na najgorsze. Bałam się o bibułę, ale być może jeszcze bardziej, że wywiezie mnie gdzieś do lasu, co się podobno często zdarzało. Samochód ruszył. Dojechaliśmy do Niegolewskiego. Spytał jak jechać. Odetchnęłam z ulgą. Być może to jakiś "porządny" Niemiec. W lewo - links. Dojechaliśmy do Kochowskiego. W prawo - rechts. Podstarościch. Znowu w lewo. Ulica była jeszcze nie wybrukowana a po niedawnych deszczach pełna była błotnistej, głębokiej mazi. Samochód się zatrzymał. Chciałam wysiąść. Powiedziałam - "dankeschein" i chwyciłam za kłankę. Nic z tego. Niemiec złapał mnie w pól i zacknął się do mnie dobierać. Wrywałam się jak mogłam, trzymając kurozowo "bibułę" pod pachą. W końcu chyba go pogryzłam, bo nagle mnie puścił a ja pognąłam do drzwi, głośno się dobijając. Ojciec otworzył mi po chwili a ja pobiegłam szybko na górę. Samochód stał. Latarnie świeciły ostro w ciemności, jak potężne reflektory. Nic się jednak nie wydarzyło. Zawrócił i odjechał. Ale strach - pozostał. Nazajutrz wyszłam z domu wcześniej rano, zabrałam trochę rzeczy i, jak postanowiliśmy z rodzicami, przeniosłam się na jakiś czas do Hanki Koźmińskiej, która także mieszkała na Żoliborzu. Opowiedziałam wszystko Elżbiecie, która była już wtedy moją szefową. Postanowiono wtedy, że muszę na jakiś czas zamelinować się, a potem musiałam zamieszkać na naszym "punkcie", na Mokotowskiej 52 m. 52. No i dobrze się stało. Następnego dnia Niemiec przyjechał na Podstarościch i wypytywał Ojca i sąsiadów. Nikt nic nie powiedział ale wszyscy wokół, widząc głębokie ślady samochodowe w błocie, przekonani byli, że panna Lipińska zadaje się z Niemcami.

11/22

Berta, korzystając z moich kontaktów z działem sażanicy, załatwiła mi delegację kurierską do Zakopanego, z pocztą do przrzutu przez granicę. Pojechał ze mną także Staszek, który zrobił sobie małą przerwę w swoich działaniach. Tak, że mieliśmy oboje wspaniały, tygodniowy urlop w górach. Ja pojechałam sama, wcześniej. Zgłosiłam się do Kuleszyny-Paryskiej, znanej taterniczki i przewodniczki po górach. Mieszkała na drodze ku Olczy. Przekazałam jej "pocztę", a ona załatwiła mi nocleg w sąsiedniej chałupie. Tam czekałam na Staszka i potem poszliśmy już razem przez Brzeziny, na Halę Gęsieńnicową. Po drodze nie spotkaliśmy nikogo. Niemcy bali się zapuszczać głęboko w góry. Na Hali także było pusto. Schronisko prowadziła Barbara Woyzbunówna. Prócz niej były jeszcze kucharka, Marynowska, i jedyny mężczyzna - Karol Pollaczek. Z gości, a właściwie jako przebywający tam rezydent, był malarz - Kulisiewicz. Tak, że w sumie było ich czworo i nas dwoje. Jadaliśmy wszyscy razem w kuchni. A my dwoje chodziliśmy codziennie na spacer w pobliskie lasy i doliny, nie zapuszczając się zbyt głęboko w góry. Najczęściej chodziliśmy w dół, Brzeziniami, na wielką polaną porośniętą gęsto malinami. To był już wrzesień, pora dojrzewających właśnie w górach malin. Nigdy nigdzie nie widziałam tak olbrzymich owoców. Maliny były jak duże czereśnie. Zbieraliśmy je do ogromnego dzbana, a potem, razem z całym naszym towarzystwem, zjadaliśmy ogromne porcje, suto polewane śmietaną. Był to wspaniały tydzień. Wracaliśmy znowuż każde z osobna, dla większego bezpieczeństwa. Ja, po powrocie, zamieszkałam w tym lokalu, na Mokotowskiej, w sercu dzielnicy niemieckiej. Ale o tym okresie opowiem dalej.

Jak żyliśmy wszyscy w tym okresie? Jak i za co. Różne były sposoby zarabiania pieniędzy. Naogół był to drobny handelek, różnymi rzeczami wytwarzanymi domowym sposobem. Wszystkiego było brak. Były mydełka glicerynowe, materiały ręcznie tkane, samodziały, pantofle na sznurkowej podeszwie lub drewniaki. To wszystko czego nie można było kupić, - ludzie natychmiast zaczęli wytwarzać sami. Twój Ojciec, wiem to tylko z opowieści, robił właśnie różne buty do spótki z Kaweckim, którego poznał w dzieciństwie, w Sopocie. Później razem z Witkiem Popławskim otworzyli wytwórnię garnków. Mieli gdzieś sklep na Bagnie. Była to zresztą świetna przykrywka dla zupełnie innej, konspiracyjnej działalności. Wszystkie te "handelki" były doskonałym kamuflażem naszego domokrażnego stylu pracy. Od lokalu - do lokalu z różnymi rzeczami do sprzedazy. My - u Berty - nie miałyśmy na to czasu. Każda z nas miała jakieś fałszywe dokumenty, a ja miałam nawet prawdziwą legitymację agenta ubezpieczeniowego, którą wyrobił mi mój Ojciec w Państwowym Zakładzie Ubezpieczeń. To było świetne alibi.

Pewnego dnia wpadłam do domu i dowiedziałam się, że mój Tata zaraził się tyfusem i został przewieziony w ciężkim stanie do szpitala zakaźnego przy ulicy Wolskiej. To ta wszy z Ghetta! Ojciec chodził tam codziennie jako pracownik Izby Skarbowej Grodzkiej w Warszawie. To się musiało stać. Przeraziłam się nie na żarty. Koniecznie chciałam Ojwa zobaczyć, a może także coś mu dopomóc. W Komendzie Głównej była komórka więziennicza, która miała m.in. ścisły kontakt ze szpitalem zakaźnym. Często zdarzało się, że więźniom zaszczepiało się jakąś chorobę zakaźną, aby potem różnymi sposobami wyrwać go ze szpitala i uwolnić. Znana jest historia takiego uwolnienia Stanisława Miedzy-Tomaszewskiego pokazana kiedyś w wersji filmowej według jego opowiadania "Umarłem aby żyć". Berta skierowała mnie do doktora Rydygiera pracującego w tym szpitalu na Wolskiej, a on uoszciliwił mi nie tylko widzenie się z Ojcem ale także możliwość pracy przy nim jako nocna pielęgniarka. No i zaczęłam przychodzić na nocne dyżury po całodziennnej pracy w organizacji. Najgorsze było moje pierwsze spotkanie. Uprzedzono mnie, że Ojciec jest w bardzo ciężkim, krytycznym stanie. Miał bardzo wysoką gorączkę ale, w przebytym świadomości, poznał mnie i błagał abym odeszła, uciekła z tego szpitala. Nie poto ta przyszłam. Czuwałam przy nieprzytomnym Ojcu przez szereg nocy. Pomagałam także innym pielęgniarkom, bo przecież było ich bardzo mało. dostawałam od nich listę poleceń na daną noc i robiłam zastrzyki przepisane przez lekarzy, podawałam leki no i inne konieczne usługi. Pracaowałam tak około dwóch tygodni, aż do chwili, że Ojcu zrobiło się wyraźnie lepiej i że się z tego już na pewno wygrzebie.

W czasie tego mojego pobytu w szpitalu miałam jeszcze jedno niezwykle spotkanie. W hallu przy stoliku siedział zawsze granatowy policjant pilnujący wejścia na sąsiedni korytarz. Zainteresowałam się kogo on tak pilnuje. Jako "pielęgniarka" miałam w zasadzie dostęp do innych pomieszczeń, a nie tylko do tej sali, na której leżał Ojciec. Poszłam więc do tego pokoju, który był tak pilnie strzeżony. Zaskoczenie moje było ogromne. W pokoju tym była "Zosia". Nie pisałam wcześniej o niej, bo tylko rzadka chodziłam do niej z pocztą. Była naszą "rezydentką" w Berlinie. Jako Niemka. Wpadła niestety i została aresztowana. A potem w opisany powyżej sposób - przeniesiona do tego szpitala, pod strażą. Poznała mnie, ucieszyła się i zaczęła opowiadać swoje przygody. Wyglądało na to, że mi ufa. Ale po jakimś czasie zorientowałam się, że mówi od rzeczy. Że ją wciąż śledzą. Że w pokoju siedzi po kątach trzech strażników, że przebrali się za koty, że wciąż patrzą badawczo w jej oczy. Chwilami mówiła rozsądnie i przytomnie, a chwilami wyrzucała mnie z pokoju, mówiąc, że i mnie grozi niebezpieczeństwo. Nie wiem jak było naprawdę, czy ona genialnie udawała, czy też była psychicznie chora. Nie dowiedziałam się tego nigdy, gdyż moje szpitalne dyżury się skończyły i powróciłam do swojej codziennej pracy. Tata mój wkrótce wyzdrowiał i także opuścił szpital, ale do swojej dawnej pracy już nie wrócił. 29

W międzyczasie zostałam przeniesiona z mojej "begonii" - poczty Komendy Głównej - do BIP-u czyli do Biura Informacji i Propagandy VI-go Oddziału Sztabu. Przychodziła do nas często szefowa sekretariatu BIP-u Elżbieta /Irena Piasecka/ i ponieważ przypadłam jej widocznie do gustu, uzgodniła z Bertą moje przeniesienie. Zostałam kierowniczką poczty BIP-u, podległej bezpośrednio Elżbiecie i Prezesowi /Jan Rzepecki. Miałam za zadanie łączność ze wszystkimi komórkami BIP-u oraz z Komendą Główną, w której znałam przecież prawie wszystkie komórki i kontakty. Tak jak dotychczas zaczynałam swój dzień od przyścia do Berty a potem szłam na zasadniczą dużą pocztę BIP-u, do "Rysi" /Jadwiga Przeździecka/, do której schodziły się prawie wszystkie agendy BIP-u. Potem szłam już na swoją pocztę, która przez cały czas, aż do Powstania, mieściła się w lokiu mojej znajomej Ireny Minkiewicz - przy ulicy 6-go Sierpnia 11 n.5. Do mnie przychodziło 5 łączniczek: "Janeczka" - z pocztą z drukarni i do drukarni, "Greta" - z pocztą do i od komórki "N", "Ewa" - przynosiła różne materiały i rysunki do gazetek i akcji "N", oraz "Mirka" - łączniczka działu kelportatu prasy podziemnej, prowadzonego przez "Lenę", /Kraszewska Wanda/, która także czasami do nas przychodziła. Czasami także przychodził do nas "Miedza" /Stanisław Miedza Focaszewski/ artysta plastyk, autor większości satyrycznych rysunków do gazetek akcji "N". Po załatwieniu wszystkich spraw, przekazaniu poczty według jej przeznaczenia, szłam z całym balastem pism, pisemek i rysunków do Elżbiety do jej mieszkania przy ulicy Kaliskiej. Tam była już całkowicie rodzinna atmosfera, opowiadania wydarzeń minionego dnia i wymiana poglądów na bieżące wiadomości z frontu. Przychodzili do niej w tym samym czasie trzej młodsi chłopcy: dwóch Jurków, jeden z nich to siostrzeniec Elżbiety i Tomek, a czasami i czwarty - Tomek. Było więc miło, młodzieńczo i serdecznie. Czasami szłam jeszcze potem do "Michasia" /Irena Prenaszko/, do której zносиłam fotografie depeš od "Prezesa" do centrali w Londynie. "Michasia" wraz z mężem Andrzejem Prenaszko zajmowali się "wycienianiem filmów", aby po pozbyciu się emulsji zajmowały jak najmniej miejsca w przesyłkach kurierskich. Tak oto wyglądał mój nowy porządek dnia w mojej nowej samodzielnej i odpowiedzialnej placówce.

Po południu miałam czas wolny, co w czasie pracy u Berty raczej rzadko mi się zdarzało. Postanowiłam kontynuować studia, na tajnych kompletach, które były organizowane pod płaszczykiem szkoły Jagodzińskiego, w budynku na Koszykowej, naprzeciwko Wydziału Architektury. Była to zakamflowana szkoła dla techników, a w rzeczywistości zastępująca pierwszy rok architektury. Zapisalam się - aby mieć alibi. Chodziło tam sporo kolegów z mojego /drugiego/ roku, ale przeważnie tylko na rysunek odręczny, który prowadził Zygmunt Stępiński. Początkowo wielu z nas chodziło na tajne wykłady w gmachu naszego Wydziału - na Architekturę Polską, którą prowadził prof. Zachwatowicz, i na Architekturę Nowożytną prowadzoną przez Biegańskiego, początkującego wtedy młodego wykładowcę,

11/25

ślicznego, "czarnego Piotrusia". Jego wykłady była urzekające. Chodziłam także na wykłady z III-go budownictwa, prowadzone w "Technikum", na Politechnice, przez prof. Stáfana Bryłę. Egzamin u niego zdałam jeszcze w czasie wojny, a pozostałe dwa już po wojnie, wyjeżdżając na egzaminy do Warszawy. Na te wykłady chodziły także dwie moje koleżanki znane Ci z Twojego okresu studiów - Hanka Adamczewska i Hanna Czapska. Z Hanką Czapską mieszkaliśmy w jednym domu na Joteyki 8, niedaleko placu Narutowicza. Robiliśmy razem inwentaryzację kaplicy Baryczków w Katedrze Warszawskiej, łażąc po zakurzonych barokowych gzymsach. Zaprzyjaźniłyśmy się bardzo. Profesor Zachwatowicz był niepokiesziny, że ta nasza inwentaryzacja spaliła się w czasie Powstania.

Jak już pisałam, po mojej wieczornej przygodzie, zamieszkałam na Mokotowskiej, w dzielnicy niemieckiej. Od frontu mieszkali Niemcy, w nowym budynku, a w bocznych, starych oficynach - Polacy. Ja mieszkalam w oficynie na piątym piętrze, na które trzeba się było drapać po stromych wydeptanych, drewnianych schodach. W mieszkaniu były dwa pokoje. Jeden - mój, a drugi właścicielki mieszkania, która mieszkała na wsi, a ten jej pokój był stale zamknięty. Była mała kuchenka, z której wygrodzono jeszcze mniejsze pomieszczenie na łazienkę. W moim pokoju oprócz tapczanu i stolika nie było żadnych innych mebli. Światła górne właściwie nie było, bo nie miałam żarówki. Jedynym moim oświetleniem to była mała lampka, t.zw. "małpka", przypinana do firanki przy oknie. Zapytasz czemu tak dokładnie to wszystko opisuję? Wiąże się to z moją następną przygodą, która mogła się naprawdę źle skończyć, chociaż była wynikiem wyłącznie mojej głupoty.

Pewnego dnia, a raczej pewnej nocy - był nalot na Warszawę. Ja miałam w domu ogromny stos gazetek różnych wydawnictw konspiracyjnych - t.zw. "śmietnik", który każdej środy dostawałam do przekazania "Prezesowi". Była to bardzo ciekawa lektura i miałam właśnie wszystkie gazetki porzucane na podłodze w chwili jak zaczął się nalot. Samoloty były chyba angielskie, a więc "nasze". Było jasno jak w dzień, bo samoloty oświetlały jakimś reflektorami na spadochronach całą naszą kwartał. Ogarnęła mnie euforia. Zgasiłam światło, zbiegłam szybko na dół i wyszłam spokojnie na ulicę. W bramie niemieckiego domu tłoczyli się Niemcy, pędząc z walizkami do schronu. Panika zupełna. A ja - jakgdyby nigdy nie wyszłam na ulicę i spacerowałam patrząc wokoło co się dzieje. Miałam raczej uczucie radości niż strachu, mimo, że w powietrzu padały bomby. Przecież to nie nas bombardowano - tylko Niemców! Głupota moja nie miała granic. Nagle usłyszałam wrzask jakiegoś Niemca: "das licht um fufte stock". Odwróciłam się aby spojrzeć kto to jest taki głupi, bo przecież obowiązywało ścisłe zaciemnienie. To był moje okno! Moja "małpka" zapaliła się od wstrząsu padającej w pobliżu bomby. Wbiegłam na podwórze, co także było głupotą, i nie myśląc o konsekwencjach wbiegłam na schody. Po schodach - fruwałam. A za jaką bieżącą

11/26

z karabinem gotowym do strzału. Widocznie jednak staczał się po wydeptanych schodach i w końcu zrezygnował z pogoni. Zaczął strzelać najpierw po klatce schodowej a potem wybiegł na podwórze i zaczął strzelać w moje okno. Ja wpadłam do mieszkania, runęłam na podłogę i czując się dobrnęłam do mojej wciąż jeszcze palącej się "małpki". Uff! Kilka kul utkwiliło w ścianie, kilka wpadło do pokoju. Alarm się skończył, wszystko wróciło do normy, strzały ustały a Niemcy wrócili ze schronów do domu, tasząc swoje ciężkie walizy. Obserwowałam to z niemąłą satysfakcją. Uspokoiłam się. Konsekwencji żadnych - nie było. Poszło w zapomnienie. Na wszelki wypadek parę nocy spędziłam u Hanki. Szefom moim nie powiedziałam o tym wydarzeniu, bo wstydziłam się poprostu swojej głupoty.

Atmosfera pracy w BIP-ie była bardzo serdeczna. Oprócz opowiedzianych już zadań miałam także liczne kontakty z "Panią Marią" /Maria Wielhorska-Szpręglewska/. Była ona kierowniczką kancelarii, księgowości i archiwum. Była to urocza starsza pani, nauczycielka z zawodu. Mieszkała przy ul. Piękną, w pobliżu Lwowskiej. Sprawy finansowe załatwiane były w lokalu przy ulicy Sniadeckich, u mojej koleżanki z Wydziału - Jadwigi Bieleckiej. Był to zupełnie nietypowy lokal. Jadwiga mieszkała w jednym pokoju, w drugim - jakieś podejrzaną małżeństwo, a w trzecim - młody chłopak, który uciekł przed pogromem młodzieży męskiej z Bydgoszczy. Miał na imię Jurek. Nazwiska - nie znałam. Ze swoimi bujnymi, kręconymi włosami i dziecinną buzią - chłopak budził powszechną sympatię. W jego pokoju odbywały się często t.zw. "bumsy" - dzisiejsze "party". Było pełno muzyki, śpiewu no i alkoholu. Było tam zawsze bardzo wesoło, a takie odprężenie było nam wszystkim bardzo potrzebne. Bywałam i ja czasami na tych "bumsach", było to zupełnie naturalne, bo przecież z Jadwigą znałyśmy się z Wydziału.

Pewnego dnia, a raczej pewnego wieczoru, po zajęciach na Wydziale, miałam iść na Sniadeckich, do Jadwigi, po pieniądze na wypłatę na dzień następny. Powinnam była pójść tam przed zajęciami, ale byłam już spóźniona i zdecydowałam się, że pójdę później. To mnie uratowało. Znowu miałam niebywałe szczęście. Na rogu Lwowskiej czekał na mnie Jurek. Chciał mnie ostrzec przed niebezpieczeństwem. W mieszkaniu u Jadwigi był "kocioł". Niemcy. On cudem uniknął wsiąpy. Właśnie wychodził z budynku, jak zajechał niemiecki samochód. Zawróciliśmy powoli Lwowską i ja poszłam zawiadomić o tym Marię. Jurek czekał na mnie. Pozbawiony całego swego niewielkiego ~~małpki~~ dobytku i mieszkania, nie wiedział co robić dalej i poprostu gdzie się podziać. Godzina policyjna była tuż, tuż. Ja nie mieszkałam na Mokotowskiej, a więc nie tak daleko. Zabrałam go więc do siebie do domu. Przespał noc w maleńkiej kuchence, przykryty marynarką. Rano poszedł szukać innego schronienia u swoich kolegów z NSZ-tu /Narodowe Siły Zbrojne/, do którego należał. Tymczasem później sprawa się wyjaśniła. To nie chodziło o Jadwigę, ale o to podejrzaną małżeństwo, które u niej mieszkało. Ale lokal był oczywiście - spalony.



Ze Staszkiem /"Stasinkiem"/ widywałam się niestety bardzo rzadko. Oboje byliśmy głęboko zaangażowani i bardzo zajęci. Nie dysponowaliśmy w pełni naszym czasem. Zwłaszcza Staszek. Pracował w Kedywie - /Komenda Dywersji/. Dowodził t.zw. "grupą żoliborską", podległą bezpośrednio komendantowi Okręgu Warszawskiego - "Andrzejowi" /dr. Józef Rybicki/. W jego grupie operacyjnej była grupa chłopaków i trzy dziewczyny Krystynę Czachowską, Danutę Mancawicz i Zosię, której nazwiska nie pamiętam. Cała ta "ferajna" miała wspaniałą melinę na Żoliborzu, w mieszkaniu Krystyny Jakubowskiej w willi na rogu ul. Mierosławskiego i Felińskiego. Grupa ta wykonywała pod komendą Staszka szereg błyskotliwych i niebezpiecznych akcji dywersyjnych, z których najgłośniejsza była t.zw. "akcja panienka". Była to akcja zlikwidowania dowódcy wartowni Bahnschuz<sup>4</sup> na Dworcu Zachodnim, feldfebla Karla Schmaltza "Panienka"/. Akcję przeprowadzono w biały dzień, o godzinie 11-ej 4-go marca 1944 roku. Szczegóły tej akcji opisane są w wielu publikacjach a m.in. w książce Tadeusza Strzembosza - "Akcje Zbrojne Podziemnej Warszawy 1939 - 1944. Ja oczywiście nic o tym wtedy nie wiedziałam, a o wszystkim dowiedziałam się trochę z książek po wojnie, no i trochę od samego Staszka, z którym spotykałam się będąc u Ciebie w Londynie. Przeczytałam wtedy fragmenty jego wspomnień, które właśnie pisał. Wspominaliśmy oczywiście nasze chwile razem spędzone w czasie okupacji. Nasze spotkania, nasze rozmowy, nasze spacerowanie z psem nad Wisłą. To były wtedy dla nas obojga najwspanialsze przerywniki w codziennej konspiracyjnej pracy. Grywaliśmy wtedy w Bridge najczęściej u Krystyny Jakubowskiej, gdzie oprócz tej "grupy żoliborskiej" zbierała się cała gromada złotej młodzieży. Taki lokal był doskonałą przkrywką dla właściwej działalności grupy Staszka. No i tak właśnie toczył się każdy mój powszedni dzień - między pracą, Wydziałem i spotkaniami ze Staszkiem, i jego ferajną. Trochę czasu zajmował mi także Jurek, który od dawny "łaził" za mną. Nie dawał mi spokoju, usiłował robić sceny zazdrości, do czego nigdy go niczym nie upoważniałam. Przeszkadzał mi po prostu w pracy. Czasami w niedziele przywaliśmy po Wiśle żaglówką, którą zdobył nie wiadomo skąd, wiedząc, że to mój ulubiony, jedyny sport.

Często chodziłam służbowo do małej knajpki na ulicy Szpitalnej, do "Kącika pod jemiolą". Knajpka była przednia i było tam świetne jedzenie. Zawsze było tłoczno. Małych stolików było niewiele, a jeden duży także często był okupowany. Kelnerowała tam Halinka Walawska, hrabianka, z którą właśnie miałam swoje konspiracyjne kontakty. Za jej pośrednictwem wymieniałam złotówki na dolary, lub odwrotnie. Plac Napoleona /dzisiejszy Plac Powstańców Warszawy/ był siedzibą waluciarzy, tak, że lokal był i pod tym względem wygodny. Te właśnie kontakty zaowocowały niespodziewanie i wpłynęły na moje dalsze życie w sposób nieoczekiwany, zasadniczy. Pewnego dnia poszłam jak zwykle do "Kącika pod Jemiolą". Zamówiłam jakieś danie i usiadłam przy dużym stole, bo nie było innego miejsca. Po pewnym czasie przysiedli się do mnie, co było tu przyjęte,

jacyś dwaj panowie. Halinka powiedziała mi, że obaj - to żeglarze z AZM-u/Akademicki Związek Morski/ do którego ja także należałam. Było więc o czym rozmawiać. O znajomych kolegach - żeglarzach, o ostatnim rejsie na "Szkwałe", na którym miałam właśnie pływać po wakacjach, o jego kapitanie Staszku Jaksie-Bykowskim, który zginął od kuli w czasie oblężenia Gdyni. W czasie tej rozmowy obaj panowie przedstawili mi się. Andrzej Zboński i Stefan Downarowicz. No i tu właśnie, w tym "Kąciku pod jemiolą" zaczęła się historia mojego dalszego życia.

Następnym razem, gdy zajrzałam do "Kącika" - Halinka zapytała mnie kiedy będę następnym razem. Zdziwiło mnie to. Okazało się, że pan Downarowicz pragnąłby spotkać mnie raz jeszcze. Nie miałam na to wielkiej chęci - no bo poco? I tak brakowało mi czasu na wszystko. W jakiś czas potem byłam służbowo u "Zataxaxx" "Krazna" /Stanisław Tatar - szef III Oddz.Stabu/. Jego łączniczką była Lola Kierkowska, którą Ty znasz bardzo dobrze, a ja w tych czasach widywałam ją sporadycznie, ale bardzo lubiłam. Zapytała mnie wprost czemu nie chcę spotkać się ze Stefanem. "To wspaniały facet. Jest w Tobie zakochany. To "cCup de foudre". musisz się z nim spotkać." Lola miała z nim często do czynienia służbowo. W jakich sprawach oczywiście nie wiem. Tak więc za jej namową spotkałam się oczywiście w "Kąciku". Usiedliśmy tym razem przy małym dwuosobowym stoliku i zaczęła się rozmowa. Przeprosił mnie za swą natszczywość i zaczął nieśmiało opowiadać o sobie. Powiedział mi, że jest rozwiedziony, pytając czy mi to nie przeszkadza. Nie interesowało mnie to. Chciał się ze mną częściej spotykać, ale odmówiłam, bo przecież naprawdę miałam mało czasu. Powiedziałam, że jestem "zajęta" i nie powinnam się z nim spotykać. Było to u progu 1943-go roku.

Czas i historia nie dają się jednak zatrzymać. Stefan nie dawał za wygraną. Co się miało stać - to się stać musiało. Stefan był kilkakrotnie u moich rodziców, przynosząc zawsze jakieś kwiaty. Rodzice byli nim oczarowani. Pewnego dnia, w moje imieniny, 26-go lipca 1943-go roku - spotkał się, po długiej przerwie, właśnie u rodziców. Stefan przyszedł oczywiście z kwiatami, mając nadzieję, że tego dnia może mnie tam spotkać. Stefan co raz bardziej mi się podobał, no bo przecież nie mógł się nie podobać. Jego adoracja pochlebiała mi. Zaczęliśmy się częściej spotykać, a ja tych spotkań pragnęłam co raz bardziej. Bywaliśmy w małych kawiarenkach, czasami u matki Stefana, na Boduena 3, a czasami w "Kąciku pod jemiolą". Było mi z nim dobrze. Czułam się przy nim bezpieczna i jakaś radosna. No i właśnie w tym "Kąciku" - postanowiliśmy się pobrać. Halinka Walawska była pierwszym świadkiem naszych zaręczyn i to ona właśnie wypija pierwszy toast za naszą miłość, życząc nam szczęścia i wszelkiej pomyślności. Co na to moi przyjaciele? Jurek rozplakał się jak dziecko, a Staszek powie -

129

dział "wolna wola" i obrócił się na pięcie i odszedł. Było mi głupio. Ale wkrótce po moim ślubie on sam także się ożenił.

Do tego tego ślubu było jednak jeszcze daleko. Ślubu kościelnego nie mogliśmy brać, nad czym ogromnie boleli moi rodzice. Stefan musiał zmienić wiarę i przystąpił do kościoła Ewangelicko-Reformowanego. Chodził przez miesiąc na "nauki", a potem został ochrzczony. Ja byłam chrzestną matką, a Jurek /jego brat/ - chrzestnym ojcem. To, że oboje byliśmy wyznania rzymsko-katolickiego nie miało żadnego znaczenia. Ślub wzięliśmy w kościele na Lesznie /dawniej Swierczewskiego./ oŚlub był cichy. Trzeba było być ostrożnym, tym bardziej, że niedawno Niemcy wygarnęli cały konspiracyjny orszak ślubny z kościoła na placu TrzechKrzyży. Świadcami ślubu byli - Jurek i Izolda, moja najlepsza przyjaciółka. Od niej to właśnie dostałam jako prezent ślubny ten pamiętny świecznik, który potem Stefan wygrzebał z popiołów naszego spalonego mieszkania. Jedynym gościem w kościele był Staszek co było dla mnie wielką radością. Wesela odbyło się u rodziców i było szumnie, bogato i uroczyście.

Zamieszkaliśmy początkowo w domu rodziców, na Podstarościcach, w moim malutkim pokoiku na drugim piętrze. Pokoik był śliczny, ale nie było nam tam wygodnie, bo nie było łazienki, a tylko umywalka z zimną wodą. Po jakimś czasie przeprowadziliśmy się na Ochotę, na ulicę Joteyki Nr.8. Było to mieszkanie trzypokojowe. Jeden pokój zajmował właściciel, który stale przebywał poza Warszawą, a pozostałe dwa - były nasze. Złożyliśmy obowiązkowe w tych czasach wizyty. Byliśmy u Dzidzi i Ali /Komarnickiej/, obie Downarowiczówny z domu, oraz u Popławskich w ich pięknej willi na Bielanych. Zrobiłam także poraz pierwszy przyjęcie w naszym domu, przed czym miałam ogromną treść. No i zaczęło się nasze zwykłe życie. Oboje pracowaliśmy w konspiracji, ale każde z osobna, w innym dziale i z zupełnie innymi zadaniami. Nie rozmawialiśmy o tym między sobą - w myśl zasady - im mniej wiesz - tym lepiej i bezpieczniej. Wiedziałam tylko, że Stefan pracuje z Witkiem Popławskim, i, że mają "melinę" na placu Grzybowskim. Sklep z garnkami. Doskonałe alibi.

O tym co naprawdę robił Stefan - dowiedziałam się trochę później. Miał niebezpieczną przygodę, która na szczęście dobrze się skończyła. Tak się jednak tym zdenerwował, że po raz pierwszy opowiedział mi wszystko. Okazało się, że Twój Ojciec zajmował się bronią, a przede wszystkim - transportem tej broni, która byław wysyłana z Warszawy do partyzantki do województwa Nowogródzkiego. Jechał właśnie taką ciężarówką natadowaną amunicją, ukrytą w beczkach, przysypaną gwoździami. Miał to dostarczyć do pociągu na Dworcu Wschodnim. Zajechał na dworzec - a tam Niemcy. Kontrola ładunku. Kazali Ojcu wysiąść z samochodu i odejść. Siedział na ławce przekonany, że to już koniec całej zabawy. Najważniejsze - to zachować spokój i mieć nina jak gdyby

11/30

nigdy nic. Nie jest to łatwe w takiej sytuacji. Tymczasem Niemcy zdjęli piankę i wleźli na platformę załadowaną beczkami. Co w nich jest - zapytali. Gwoździe. Otworzyli pierwszą beczkę - za wierzchołu - gwoździe. Przesypali rękami wierzchnie warstwy - gwoździe, Otworzyli drugą beczkę - to samo. Gwoździe. Machnęli ręką i nie szukając dalej pozwolili Ojcu załadować to wszystko do pociągu. Możesz sobie wyobrazić co Stefan przeżywał siedząc na tej ławce. Do domu przyszedł tak zdenerwowany, że nie udało się opanować. Opowiedział mi całą historię. Dowiedziałam się przy tym trochę szczegółów o jego pracy. Należał do "Czaty 49", która między innymi zajmowała się dostarczaniem broni i zapatrzenia do partyzantki w Nowogródzkim. Było to nie tylko trudne ale przede wszystkim niebezpieczne. Moja praca wydawała mi się przy tym - dziecinnie łatwa. Nie miałam nawet o czym opowiadać, bo przecież nie mogłam zdradzać jakie miałam kontakty. To byłoby za nadto niebezpieczne dla nas obojga w razie wpadki.

Tak było aż do Powstania. Każdy z nas robił swoje, niepokojąc się wzajemnie o siebie. Prawdziwe odprężenie nastąpiło dopiero na spotkaniu w domu. Muszę się teraz cofnąć nieco w czasie i opowiedzieć historię, która blisko się p mnie otarła, ale mogła się naprawdę źle skończyć.

W październiku moja przyjaciółka - Hanka - wzięła ślub. Jej męża - Janusza - nikt z nas nie lubił, chociaż to był kolega Staszka z Podchorążówki. Grywaliśmy z nim czasami w bridża u Krystyny Jakubowskiej, na Felińskiego, ale tak naprawdę to wszyscy trochę się od nich odsunęli. Parę miesięcy wcześniej wciągnęłam Hankę na listę zagranicznych kurierów. Znała dobre języki, była spokojna i opanowana i nadawała się świetnie do takiej roli. Na tę samą listę wciągnęłam także Jurka, który świetnie znał niemiecki, a po moim ślubie chciał koniecznie wyjechać z Kraju. Jurek został wysłany na punkt kontaktowy, prawdopodobnie do Innsbruku. Hanka - pseudonim "Maja" - wyjechała w swą pierwszą podróż, okrężną drogą do Londynu, 9-go marca 44-go roku. Już na dworcu w Krakowie została zatrzymana przez Gestapo. Tego samego dnia wpadła cała "siatka" punktów kontaktowych i wszyscy kurierzy, którzy akurat byli w drodze. O tej wyprawie tak pisze Jan Nowak Jeziorański w swojej książce "Kurier z Warszawy": "Był prowokator w "Załodze" /biuro łączności z zagranicą, którym kierowała "Marcysia"/. Gestapo podobno dało mu 9 miesięcy na rozszyfrowanie kierownictwa i całej sieci łączności. Uderzenie nastąpiło nagle i wszędzie jedno - cześnie. W tym samym dniu w samej centrali aresztowano dwadzieścia - dwie osoby z rodzinami. Na Szucha nie bawiono się w żadne śledztwa. Aresztowanych tracono z miejsca, aby ktoś grypssem nie zdradził prowokatora. Od niego wiedzieli wszystko." Kim był ten prowokator nie wiadomo do dziś napewno. Jeziorański podejrzewał kogoś z komórki "H". Wnie się to inaczej wydawało. Całą siatkę organizował od 1936 niejaki

11/30

"Seweryn", który także został aresztowany, ale po tygodniu wypuszczono go. "Marcysia jego właśnie podejrzewała, ale jak było naprawdę tego do dziś nie wiadomo. Możesz sobie jednak wyobrazić jaka byłam tą wypadką przejęta. Żadnych bliższych danych nie znałam. Ale bałam się o swoich przyjaciół, o Hankę, którą sama do tego kurierstwa namówiłam, no i oczywiście o Jurka. Żadnych wieści o nich nie miałam.

W jakieś dwa tygodnie po aresztowaniu Hanki zadzwonił do mnie Janusz. Umówiliśmy się w kawiarni, do której często chodziłam, na rogu Pięknej i Marszałkowskiej. Janusz powiedział mi, że widział się z Hanką w Gestapo, na Szucha. Pokazał mi napisane przez nią kilka słów w kalendarzyku. Uwierzyłam mu. Prosił abym skontaktowałam się z Marcysią bo jest możliwość wykupienia Hanki z więzienia. Powiedziałam o tym w Komendzie. Nie wiem, czy mi uwierzone, bo wyglądało to dosyć nieprawdopodobnie. Janusz spotykał się ze mną jeszcze kilka razy, pytając jak postępują sprawy. A później - już bez żadnego wyraźnego powodu. W czasie tych spotkań czuła mu dziwnie latały, rozglądał się dokoła, jakby mnie komuś pokazywał. W Komendzie szybko doszli do wniosku, że moim śladem mogą dojść nie tylko do "Marcysi", ale i do samego Komendanta. Odsunięto mnie więc od roboty. Musiałam się wyprowadzić na jakiś czas i przenieśliśmy się do Legionowa. Ja ufarbowałam włosy i esikowicie zmieniłam styl ubierania się. Na początku maja pozwolono mi wrócić do domu, na Joteyki.

Pewnego dnia Janusz zadzwonił do mnie, ale nic nie zdążył powiedzieć i rozmowa się urwała. Telefon został zablokowany. W parę dni później przyjechała do mnie matka Hanki, która czasowo mieszkała z Januszem pod Warszawą. Zapytała mnie czy nie wiem co się dzieje z Januszem, bo od kilku dni się nie pokazał, a telefon milczy. Prosiła mnie abym pojechała na <sup>ul.</sup> Lisa Kuli, gdzie na stałe mieszkali. Telefon tak jak i u mnie był zablokowany. Próbowałam dzwonić z miasta pod oba numery, ale oba były nieczynne. Dziś przypuszczam, że stało się to właśnie wtedy, gdy Janusz telefonował do mnie. Obiecałam matce Hanki, że oczywiście pojadę i sprawdzę co się tam dzieje. Był to akurat 15-ty maja, imie niny mojej Mamy, tak, że i tak miałam jechać na Żoliborz. Zaszłam więc na Lisa Kuli, zadzwoniłam do drzwi, ale nikt się nie odezwał. Następnego dnia matka Hanki sama pojechała do domu. Zajrzała do obu pokoiów, i do kuchni i już miała wyjść gdy spostrzegła na wieszaku kapelusz Janusza. Coś ją tknęło i zajrzała jeszcze do łazienki. Janusz leżał w wannie - zamordowany. Gdy mi to opowiadała - byłam przerażona i nie wiedziałam co o tym myśleć. Nasuwało się zresztą tylko jedno przypuszczenie, że wykonano na nim "wyrok". Kto i za co - niewiadomo. Zwykle w "Biuletynie Informacyjnym" ukazywały się zawiadomienia o wykonanych wyrokach na zdrajcach, z podaniem treści wyroku sądu konspiracyjnego. Tym razem takiego komunikatu nie podano. Sprawa wyjaśniła się dopiero znacznie później.

Pod koniec lat sześćdziesiątych przeczytałam w gazecie, że na Cmentarzu Powązkowskim odbędzie się uroczysty pogrzeb generała Sosabowskiego i, że przyjechał także jego syn aby wziąć udział w tej uroczystości. Serce zabiło mi mocniej. Natychmiast pojechałam na Żoliborz aby zobaczyć Staszka. On - poznał mnie po głosie. Uściskaliśmy się serdecznie, padliśmy sobie w ramiona, a opowiadaniem i wspomnieniom nie było końca. Umówiliśmy się, że na cmentarz ja go zawiozę swoją nowiutką Primulą, którą właśnie przyjechałam z Francji. Przyjechałam następnego dnia o umówionej godzinie. Zanim jednak wsiedliśmy do samochodu zapytałam go czy nie ma nic przeciwko temu aby z nami pojechała Hanka. Zaprotestował gwałtownie i powiedział, że z nią nie pojadzie. Nic nie mówiąc o tym Hance umieściłam ją w innym znajomym samochodzie. Dopiero po pogrzebie Staszek opowiedział mi dlaczego nie chce wogóle widzieć Hanki. No i tu właśnie następuje wyjaśnienie całej sprawy, o której pisałam. Janusz, mąż Hanki, a kolega Staszka z podchorążówki, często, jak pisałam, grywał z nami w bridża u Krystyny na Felińskiego. Świetnie się orientował, że to główna kwatery Staszka, melina pełna broni i innych dywersyjnego materiałów. Skoro nie udało mu się sypnąć mnie i moich szefów - sypnął Staszka. W początkach maja osobiście przyprowadził gestapowców do domu Krystyny. Oczywiście znaleźli cały zakazany arsenał. Aresztowali wszystkich obecnych w tym Kazika Jakubowskiego, brata Krystyny i jego żonę Zośkę. Ani Staszka, ani Krystynę wtedy tam nie było. Półroczne dziecko Kasi i Zośki wyniosła jakimś cudem Danusia Mancewicz, łączniczka Staszka. Danusia - sama mała jak dziecko - nie zwróciła nieczyjej uwagi. Kazik i jego żona Zośka zginęli zakatowani przez Gestapo, na Szucha. Nad Kazikiem znęcali się szczególnie okrutnie, bo któryś z Gestapowców rozpoznał go jako uczestnika zamachu na "Panienkę". Janusz za swoją chaniebną i okrutną zdradę musiał zapłacić. Komunikatu o tym nie było, bo był podobno synem wysoko postawionej osoby w Komendzie. Po tych wyjaśnieniach i wzajemnych opowieściach powiedziałam Staszce, że Hanki o nic nie można obwiniać. Ona przecież nie miała w tym żadnego udziału, no i napewno nie wie o tym jak to się stało, że ona jedna uszła z tej ogromnej wyspy. Wywieziono ją do Rawensbruck. Z Hanką na te tematy oczywiście nigdy nie rozmawiałam. Nigdy żadna z nas nie wspominała imienia Janusza. Mimo zachowania pozorów przyjaźni wyrósł między nami mur nie do pokonania.

Jeszcze jedna sprawa wyjaśniła się dopiero po wojnie. Byliśmy ze Stefanem, mieszkając już w Sopocie, w Grand Hotelu, na podwieczorku. W przerwie koncertu podszedł do mnie pianista, przyjaciel Jurka, którego dobrze znałam. Opowiedział mi o przygodach Jurka na jego punkcie kontaktowym w górach w Austrii. Tak jak w poprzedniej przygodzie - miał wyjątkowe szczęście. Umknął przed aresztowaniem ostrzeżony przez sąsiadów Niemców, którzy oczywiście nie orientowali się

w jakiej roli Jurek tam przebywał. Uciekł i jest obecnie w Paryżu. Odetchnęłam z ulgą, bo i o niego obawiałam się ogromnie w czasie tej wyspy. Ocalały z niej więc napewno tylko te dwie osoby, Jurek i Hanka, ale w jakże różnych okolicznościach.

Mam jeszcze jedną smutną historię do opowiedzenia. Moja przyjaciółka - "Izolda" - wpadła przypadkiem w ręce Gestapo. Została zakażowana na śmierć nie ujawniając nikogo. Jak wiesz była to moja najlepsza przyjaciółka, najbliższa mi osoba. Była świadkiem mojego ślubu. To od niej właśnie dostałam w ślubnym prezencie ten historyczny już świecznik, który potem Ojciec wygrzebał z gruzów naszego mieszkania po Powstaniu.

Zakończę tę część "zapisków" pogodniejszą informacją. W czasie świętowania jajeczkim Wielkanocnych Świąt w kwietniu 1944 r. w lokalu naszej pani Marii, na ul. Pięknej - "Elżbieta" przyniosła rozkaz Komendanta Głównego, Bora Komarowskiego, w którym podany był szereg odznaczeń. Ja i "Rysia" otrzymałyśmy Złote Krzyże Zasługi z Mieczami, a dwie łączniczki - Srebrne. "Elżbieta" powiedziała nam, że "Prezes" występował o Krzyże Walecznych dla nas, ale uznano wtedy, że Krzyże są w zasadzie dla żołnierzy biorących bezpośredni udział w walce. Nasze "zasługi" oceniono jednak także bardzo wysoko. Łaski pasek bibułki z rozkazem na moje imię przechowywałam w mieszkaniu na Podstarościch, w skrytce, którą dostałam od "Krzysia", który projektował i wykonywał wszelkie schowki i inne maskowania dla całej Komendy. Ta "skrytka" to był wysoki stojak na kwiaty o sprytnie odgiętym, podwojnym pulpicie. Niestety nie udało mi się go po wojnie.

Nic już więcej godnego uwagi w tym czasie się nie zdarzyło aż do dnia wybuchu Powstania. Jak widzisz - z tego chaotycznego pisania - wylania się zwykły dzień powszedni młodej dziewczyny w czasie okupacji. Było to prawie normalne zwyczajne życie. Zwykłe codzienne sprawy, drobne kłopoty i drobne radości. Trzymała nas wszystkich wiara i nadzieja, że to się musi niedługo skończyć. Ufaliśmy naszym przywódcom i byliśmy przekonani o doskonałości organizacyjnej naszego podziemnego państwa, ze wszystkimi jego agendami. Byliśmy potrzebni, stanowiąc niezbędną ogniwo łączące w jedną całość rozrzucone po całym kraju komórki. Nikt z nas nie używał wielkich słów. Nie było mowy o bohaterstwie, czy o bohaterских czynach. Ufaliśmy sobie wzajemnie i to była podstawa naszych działań. A czas wolny wypełniały takie same rozrywki jak w czasie pokoju. Kawiarnie, które obsługiwały aktorki, koncerty, występy artystów, zwykłe spotkania. Tylko do kina i do teatrów nikt z nas nie chodził. Było to nieluzące zakazane. Tak więc mijał mi czas "od października do października" - włączając w to również i czas powstania, o którym piszę osobno w dalszej części opisu moich wojennych wspomnień.

11 | 34

## Q.B.J.A.S.N.I.E.N.I.A.

- A.B.C.** - Zespół trzech central pocztowych Komendy Głównej A.K.
- "A"- Astry** - poczta obsługująca Komendanta Głównego
- "B"- Begonie** - poczta obsługująca komendanta V-go Oddz.Sztabu
- "C"- Cykoria** - poczta obsługująca szefa sztabu - III-go Oddz.Sztabu
- P.K.O.** - zespół trzech poczt jak wyżej, o zmienionej nazwie
- "P"-Pudle** - poczta Komendanta Głównego
- "K"-Kundle** - poczta V-go Oddz.Sztabu
- "O"- Ogary** - poczta Szefa Sztabu
- Re-Be-Ka** - Raszki, Bekasy, Kosy - zmienione nazwy Trzech poczt j.w.
- B.I.P.** - Biuro Informacji i Propagandy, VI-go Oddz.Sztabu
- T.W.Z.W.** - Tajne Wojskowe Zakłady Wydawnicze - VI-go Oddz.Sztabu
- Akcja "H"** - Wydział propagandy dywersyjnej na tyłach wroga - VI Oddz.
- S.Z.P.** - Służba Zwycięstwu Polsce - utworzony 26 września ;939 r.
- Z.W.Z.** - Związek Walki Zbrojnej - organizacja wojskowa - 1940 r.
- A.K.** - Armia Krajowa - utworzona w lutym 1942-go roku po włączeniu do Z.W.Z.-tu organizacji bojowych z różnych organizacji politycznych, m.in. Batalionów Chłopskich.

---

## P.S.E.U.D.O.N.I.M.Y.

- Adam** - Chendyński Leon - kapitan/major - szef działu łączności Komendy Głównej. - V-go Oddz.Sztabu. Zginął tragicznie w 1941 roku.
- Agnieszka** - Puchalska-Kowalska Jadwiga - kapitan. Szef łączności z okręgami wschodnimi V-go Oddz. Komendy Głównej. Następnie członek grupy osłonowej Komendanta Głównego A.K. Odsznaczona Orderem Virtuti Militari V-ej klasy i Krzyżem Walecznych.
- Basia** - Jadwiga Piekarska - kierowniczka centralnej poczty Komendanta Głównego A.K.- Astry, później Pudle i Raszki. Zginęła tragicznie 4-go września w czasie Powstania Warszawskiego, w ruinach gmachu P.K.O. przy S. świętokrzyskiej
- Bronka** - Janina Karasiówna - major. Inne pseudonimy: Jadwiga Berg, Henryk Kościessa, Haka, Osó. Szef V-go Oddz. Komendy Głównej - działu łączności. Odsznaczona Orderem Virtuti Militari V-ej klasy i Krzyżem Walecznych. Zginęła tragicznie w Indiach w 1948 r.
- Berta** - Janina Sipko, z domu Szenfeld. Kierowniczka centralnej poczty Komendy Głównej V-go Oddz.Sztabu - "Begonia" - o zmienionej później nazwie na "Pudle" i "Raszki". Odsznaczona Orderem Virtuti Militari V-ej klasy i oras Krzyżem walecznych.



- 11/35
- Elżbieta** - Irena Piasecka-Lange Kapitan. Szef sekretariatu BIP-u Vi-go Oddz. Sztabu. Odznaczona Orderem Virtuti Militari V-ej klasy i dwukrotnie Krzyżem Walecznych.
- Ewa** - Helena Górka - Łączniczka BIP-u pomiędzy T.W.Z.W., komórką "N" oraz pocztą centralną BIP-u.
- Greta** - Jadwiga Wolska-Jeziorańska - Łączniczka Wydziału Propagandy BIP-u Centralnej Redakcji z pocztą główną BIP-u.
- Grzegorz** - Pełczyński Tadeusz - pułkownik/generał. Komendant Okręgu Lublin ZWZ. Od 1941 roku zastępca szefa sztabu a następnie szef sztabu A.K. Odznaczony Orderem Virtuti Militari V-ej klasy, Krzyżem Niepodległości oraz czterokrotnie Krzyżem Walecznych.
- Halska** - Hanna Downarowicz-Żurkowska - z domu Lipińska./Autorka niniejszego opracowania/. Łączniczka poczty Komendy Głównej - "Begonia", a następnie - kierowniczka poczty BIP-u podległej bezpośrednio "Prezesowi" i kierownicze sekretariatu BIP-u - Elżbiecie. Odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami oraz Krzyżem Walecznych
- Isolda** - Ewa Poczeska - łączniczka sekretariatu BIP-u. Wiosną 1944 roku przypadkowo aresztowana w mieszkaniu, gdzie odbywały się lekcje tajnego nauczania. Miała przy sobie "bibułę". Po aresztowaniu przewieziona na Al. Szucha. Torturowana - nie wydała nikogo. Zmarła w maju 1944 roku. Odznaczona pośmiertnie Krzyżem Walecznych.
- Janeczka** - Rutkowska-Mierzejewska Maria. Szef sekretariatu Tajnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych.
- Joasia** - Nazwiska jej nie poznałam. Była jedną z łączniczek poczty Komendy Głównej "Astry" - obsługującej bezpośrednio Komendanta Głównego A.K.
- Szczurka** - Katarzyna Szczurowska. Szefowa komórki "Pers", zajmującej się sprawami cichociemnych. Od stycznia 1944 kierowała sekretariatem oddziału II-go. Zamordowana przez Niemców w czasie Powstania Warszawskiego.
- Kasik** - Kasimierz Drzymalski - kapitan/major/podpułkownik. inny pseudonim - "Walczał". Zastępca kierownika wydziału Żandarmerii. Odznaczony Krzyżem Walecznych /1921r/ Srebrnym Krzyżem Zasługi /1928/, Krzyżem Niepodległości z Mieczami, i Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta.
- Kuczaba** - Pluta-Czachowski Kazimierz. Podpułkownik/pułkownik. Szef V-go Oddziału Komendy Głównej i zastępca Szefa Sztabu. Odznaczony Orderem Virtuti Militari IV i V klasy, Krzyżem Niepodległości, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami i czterokrotnie Krzyżem Walecznych.

- ii/36
- Lena** - Kruszevska-Ancerewicz Hanna. Kapitan. Szef Wydziału kolportażu BIP-u. Odznaczony Orderem Virtuti Militari V-ej klasy, Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami.
- Lolita** - Kierkowska Elżbieta z domu - Suchowiak. Szef sekretariatu Szefa Operacji III-go Oddziału Sztabu. Aresztowana i przewieziona do Oświęcimia w 1943 r., gdzie pozostała do końca wojny. Odznaczona Orderem Virtuti Militari V-ej klasy i Krzyżem Walecznych.
- Lucynka** - Jadwiga Tyska - łączniczka centralnej poczty Komendy Głównej - "Astry", obsługującej bezpośrednio Komendanta Głównego A.K.
- Maria** - Wielhorska Maria - ps."Maska". Szef działu finansowego BIP-u.
- Maja** - Hanna Wojtaśkiewicz - kurierka. Aresztowana 9-go marca 1944 roku na dworcu w Krakowie w czasie podróży służbowej do Lpndynu. Wywieziona do obozu koncentracyjnego.
- Marcysia** - Malessa Emilia z domu Izdebeka, 2<sup>o</sup>voto - Piwnik./żona cichociemnego - "Pomurego", zrzuconego na teren Polski w 1941 roku/. Inne pseudonimy: Mila, Miłasia, Maniuta, Zenobia. Szef łączności z Zagranicą. Odznaczona Orderem Virtuti Militari V-ej klasy i Krzyżem Walecznych.
- Michasia** - Pronaszkowa Irena Prowadziła dział ekspedycji za granicę mikrofilmów dla kurierów, oraz sieć łączności alarmowej.
- Miedza** - Stanisław Miedza-Tomaszewski - ps."Malarz". Pracownik BIP-u w komórce "H" artysta grafik - zajmujący się propagandą dywersyjną wśród żołnierzy niemieckich.
- Monika** - Alina Obrąckiewicz - łączniczka centralnej poczty V-go oddziału sztabu - "Begonia", do stałych kontaktów z Bronką - Janiną Karasiówną.
- Monter** - Antoni Chruściel - płk/genn- Komendant Okręgu Warszawskiego, dowódca Powstania Warszawskiego. Udekorowany Orderem Virtuti Militari V-ej klasy, IV-ej i III-ej klasy oraz trzykrotnie Krzyżem Walecznych.
- Prezes** - Jan Rzepecki - pułkownik - inne pseudonimy: Rejent, Sędzia, Wolski. Był szefem VI-go Oddziału Sztabu oraz Szefem Biura Informacji i Propagandy. Odznaczony Orderem Virtuti Militari V-ej klasy, Krzyżem Niepodległości i trzykrotnie Krzyżem Walecznych.
- Rysia** - Janina Przezdziecka - kierowniczką centralnej poczty Biura Informacji i Propagandy - VI-go Oddz. Sztabu.

- Staszej** - Stanisław Sosabowski Jr. - ps. "Stasinek". Dowódca grupy soliborskiej "Kedywu". Ranna w czasie Powstania Warszawskiego w walkach na Woli - stracił wzrok. Odznaczony Orderem Virtuti Militari V-ej klasy i dwukrotnie Krzyżem Walecznych.
- Stefan** - Stefan Downarowicz - ps. "Mech". Członek "Czaty - 49". Ranna w czasie Powstania Warszawskiego w walkach na Woli. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Krzyżem Walecznych.
- Szymon** - Ryszard Krzywicki - kapitan. Adiutant gen. Tokarszewskiego w SZP. W ZWZ - dowódca "Ochronki" - zespołu bojowego lokli i zadań bojowych dowódcy A.K. W czasie Powstania Warszawskiego adiutant Naczelnego Wodza. Odznaczony Orderem Virtuti Militari V-ej klasy oraz trzykrotnie Krzyżem Walecznych.



11-38

## B I B L I O G R A F I A

1. "Komenda Główna Armii Krajowej Marek Ney-Krwawicz
2. "Słownik Biograficzny Konspiracji Andrzej Krzysstof Kunert
3. "Warszawskiej" - tom.I,II, III.  
Powstanie Warszawskie Jerzy Kirchmajer
4. Wojskowy Przegląd Historyczny Jan Rzepecki  
rok 1971 Nr. 2, 3 i 4
5. Tygodnik Powszechny Nr.48 - 71ł. Marek Ney Krwawicz artykuł p.t.  
"Kapitan AK Irena Piasecka -  
Elżbieta".
6. "Biuro Informacji i Propagandy - Grzegorz Masur  
SZP, ZWZ, AK - 1939 - 1945
7. "Tygodnik Powszechny" Nr.20, 83 r. Artykuł o Janie Rzepeckim
8. "Wycinek z Historii jednego Życia" - Emil Kunor
9. "Stefan Rowecki - Grot" Tomasz Szarota
10. "Benefis Konspiratora - umarłem Stanisław Miedza Tomaszewski  
aby żyć".
11. "Akcje Zbrojne Podziemnej Warszawy" Tomasz Strzembosz
12. Tygodnik "Świat" Nr.30 z 1957 r. Kazimierz Dziewanowski - arty-  
kuł "Pielgrzymi bez przeba-  
czenia".
13. Tygodnik "Stolica" Nr.12 z 1957 r. Artykuł o Szymonie - Ryszar-  
dzie Krzywickim.
14. "Łączność sabotaż dywersja" Jadwiga Kowalska-Puchalska

IV. KORRESPONDENCJA BIEŻĄCA

- 4. 06. 1999 - list Hanny Dourmaronisz - Żurkowskiej do Fund.  
Msp. Orgg. k. 1, s. 1.

- 16. 06. 1999. list Maneny Zgierun - dokumentalístki do  
H. Dourmaronisz i Żurkowskiej. Msp. Kopia, k. 1, s. 2.

- 18. 07. 1999 - list E. Z. do Hanny D. - Ż. Rkp. kserokopia,  
k. 1, s. 3-4.

- 29. 07. 1999 - list H. D. - Ż. do prof. E. Z. Msp. Orgg. k. 1, s. 5.

- 15. 10. 1999 - list E. Z. "żo" do H. Dourmaronisz - Żurkowskiej.  
Rkp. kserokopia. k. 1, s. 6.



Hanna Downarowicz-Żurkowska  
01-205 Warszawa,

/moje nazwisko panięskie - Lipińska/.

Wpłynęło do 10.06 = K.H.  
Ldz. 2246 / WSK / PP

Fundacja "Archiwum Pomorskie AK"  
ul. Wielkie Garbary 2  
87-100 Toruń

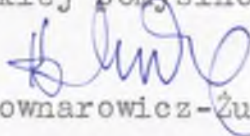
Z ogromną radością dowiedziałam się z artykułu w majowym numerze Biuletynu Informacyjnego o mającym się odbyć uroczystym spotkaniu w setną rocznicę urodzin gen. Marii Witek. Zgłaszam więc ✓ chęć wzięcia udziału w tym spotkaniu i ewentualnie pomoc w jego organizacji. dla informacji podaję dane dotyczące mojego członkostwa w PWK.

Uczęszczałam przed wojną do Państwowego gimnazjum im. Marii Konopnickiej w Warszawie, do ostatniego rocznika ośmioklasowego systemu nauczania. Cała nasza klasa należała do PWK. Brałam udział we wszelkich działaniach tej organizacji w latach 1934-1939. W roku 1935 byłam na obozie w Koszewnikach, a w roku 1936 na obozie w Redłowie.

Po kapitulacji Warszawy spotkałam się z Katarzyną Szczurowską, której złożyłam przysięgę i zostałam członkiem SZP, a następnie ZWZ i AK. Pracowałam, jako łączniczka w Komendzie Głównej a następnie w BIP-ie. Uczestniczyłam do ostatniego dnia w Powstaniu Warszawskim-.

Mam wielką nadzieję, że w czasie Memoriału będę mogła spotkać wiele moich dawnych koleżanek z PWK i z AK.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia dla organizatorów Memoriału oraz życzenia wszelkiej pomyślności.

  
Hanna Downarowicz-Żurkowska

Warszawa, 4 czerwca 1999r.

18/2 2/14  
L. dz. 1246/WSK/99

Toruń, 16.06.1999 r.

Pani  
Hanna Downarowicz-Zurkowska

01-205 Warszawa

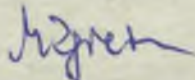
Szanowna Pani, Droga Pewiaczko,

Dziękuję za list do Fundacji. Proszę Panią o zgłoszenie się do przedstawicielki Memoriału gen. Marii Wittek w Warszawie - p. Janiny Sikorskiej. (Tel. 633-61-85)

Dodatkowo Panią uprzejmie informuję, że w Fundacji "Archiwum Pomorskie AK" w Memoriale gen. M. Wittek utworzonym przy tej Fundacji, zaprowadziliśmy kartotekę Pewiaczek mogących uczestniczyć w przewidzianej uroczystości 100-letniej rocznicy urodzin Marii Wittek.

W naszym toruńskim archiwum WSK chętnie widzielibyśmy Pani relację ze służby pewiackiej, a zwłaszcza wojennej w AK, napisanej według kwestionariusza, który załączam.

Serdecznie Panią pozdrawiam i niecierpliwie oczekuję relacji. Cieszę się z nawiązanego z nami kontaktu -

  
Marzena Zgierun

dokumentalistka  
archiwum WSK

18/3

3/14

Formi 18 07 99

Granowina Dważe Pam

Ony walam talij cenny piqkug wlaajz Pam  
Jako pedne 2 mi wleu juu zwata Pam jason  
Bertz, M. Gromowicz, H. Piwowar, i na peom  
mle unylo - Cny zwé Pam krie 2 by wydany  
w Londynie „Koprosi, Sabotas, Dyrwysje.”

Cny mozdaby Pam na oddzielnych kart.  
Kade wlekuu pwrtoala o kordij x zwazyk  
Pam zedminuel kabut napisal doci kille  
Was? Pomozto wyjay nek biogranij, mero  
rychobit, i teli bawdro chemy rorboze.  
ci to publikacje

ogromnie my miedzytam 2 Pam listu 2  
30 06 br i liare ma Pam my bne odprovidi  
Dm 18 08 br odbydri my mowu pwrtoic 100 Ros.  
mim wodrim Mami Wotke. Cny Pam' utazy  
mii doci trochy do namij pwey? jure li teli  
pomyleny Pam zeproszeni i materialy o

fun kejanowam Memoratu Mami Wotke  
i Archaizom WSK  
Bawdro rewaluim prode awam i  
erekam Elstube Zaw anke





10/4

FUNDACJA  
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej  
ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń  
fax/☎ (0-56) 65-22-186  
Konto: WBK II Oddział w Toruniu  
10901506-4675-128-00-0

**Prof. dr hab. Elżbieta Zawacka**  
ul. Gagarina 136 m 26, tel. 65-17-344  
87-100 TORUŃ

MEMORIAŁ GENERAL  
MARII WITTEK



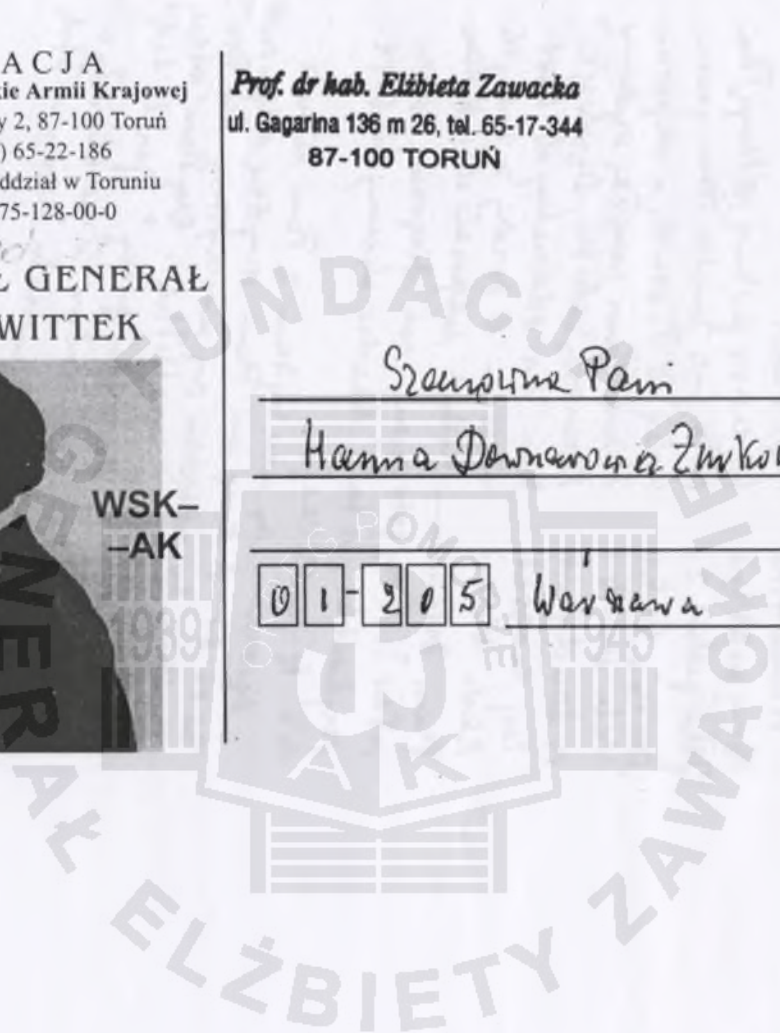
POW  
PWK

WSK-  
-AK

Szanowne Pani

Hanna Domanowa Zmłkowska

01-205 Warszawa



Hanna Downarowicz-Żurkowska  
01-205 Warszawa,

W/5

4/IV

Wpłynęło dnia 30.07.99  
L.dz. 1558 / NISK / 99

Wielmożna Pani  
prof.dr.Elżbieta Zawadzka

Wielce Szanowna i droga Pani

adres pani  
mms

Serdecznie dziękuję za tak miłą kartkę mając nadzieję, że spotkamy się na uroczystościach Memoriału Generał Marii Wittek. Oczywiście chciałabym wziąć w nim udział. Chciałabym również włączyć się choć trochę do przygotowania tej uroczystości, nie wiem tylko w czym mogłabym się przydać. Prosiła mnie Pani o napisanie kilku słów na temat znanych mi żołnierzy - kobiet z AK. Nie jest to dla mnie łatwe. Musiałabym bardzo skrótowo ująć to wszystko co już ujęłam w swoich "Zapiskach z pamięci" o całym okresie konspiracji i Powstania. To wymaga sporo czasu. Aktualnie pracuję nad innym ujęciem opisu poszczególnych osób z którymi się spotykałam. Chciałabym to nazwać: "Ludzie i pseudonimy" - ludzie takich jakich pamiętam w zestawieniu z danymi w opracowaniach historycznych i biograficznych. To jest zupełnie inne spojrzenie i inna pamięć. Moje "pisanie" - to tylko upust mojej pamięci. Zrobiłam to na prośbę mojej córki, która chciała poznać historię udziału swoich rodziców w walkach o niepodległość. Milczeliśmy o tym przez lat 50. Teraz przyszedł na to czas.

Przesyłam Pani w załączeniu moje wspomnienia o trzech najbliższych mi osobach - o Bercie, Marcysi i Elżbiecie. Notatki te jak również moje "Zapiski z pamięci" przekazałam panu Krzysztofowi Kunertowi, który przyjął je z wielką aprobatą. Pragnęłam w ten sposób przyczynić się do umieszczenia historii tych postaci w jego "Słowniku Biograficznym". Jak dotąd jest w nim tylko "Marcysia", a przecież zarówno Berta jak i Elżbieta na swoje miejsce w tym "Słowniku" jak najbardziej zasługują.

Bardzo serdecznie Panią pozdrawiam  
łącząc wyrazy prawdziwego szacunku.

50

29.07.99

IV/6  
Elzbieta Zawacka  
87-100 Toruń, ul. Gagarina 136 m 26  
Tel. 517-344

Kupie kdr: 30A/HSK 199  
Kuro zwrót do um  
Termin 15 X 99

Szanowne Drogie Koleżanko,  
Miśka, Haloska,

Serdusmi daj miż za piękne wspom-  
nienia - wiele wymiemy i tam kom-  
patentek to moje bliskie koleżanki,  
przeważni z PWK.

Przepraszam za opóźnieni odpowiedzi -  
przez 2 misięce chorowalam, ale nie Sejsz  
6/7 listopade będy piś dębyba cackim  
zdrowa.

Zapraszam Panią Kamiesznie na 18

Sejsz i prosz - paciki to ty lko moziżi - o  
przy naj mny kwitki wy stę picim na wybra-  
my przez Panią temat.

Zatęoram serdecam pozdrorzenia  
i ciesz się na osobiste z Panią spotkaniu  
Elzbieta Zawacka, Zi

P.s. A Pani wspomnienia - tak bogate a  
fakty powinny być opublikowane

Hamp  
1939  
AK  
16X  
16X



1844

J. 1844/WSK  
 LIPINSKA Henne  
 Dworkowicz  
 1939 1945  
 Włpisy ze źródeł  
 U. Nowakowe kasy informacyjnej nr 1

FUNDACJA  
 ELŻBIETY ZAWACKIEJ

AK  
KG

T: 181A 2 d. Lipnińska

AK  
K9

Downarowicz - Żmłowska Hanna ps Hełocha

adres 01 205 kwa ul Miynarska 11 m 19  
nr. 1919 w ~~dotychczasowym~~ imieniu

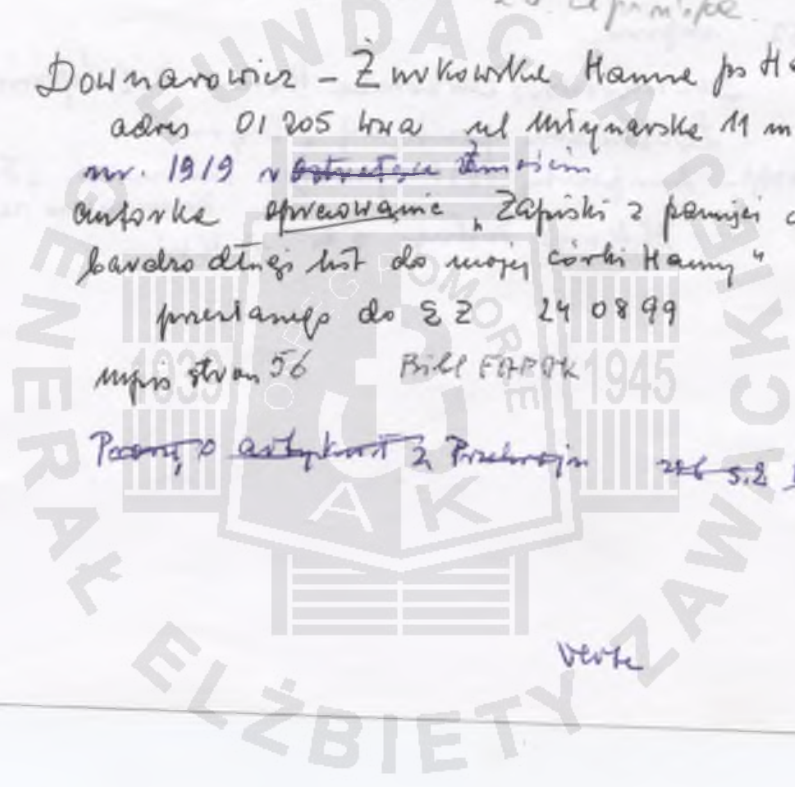
autorskie opracowanie „Zapiski z pamięci cępli  
Jawelskiej dot. hist do mojej córki Hanny”

prezentacja do S Z 24 08 99

nrps stron 56 Bibli FZPDK 1945

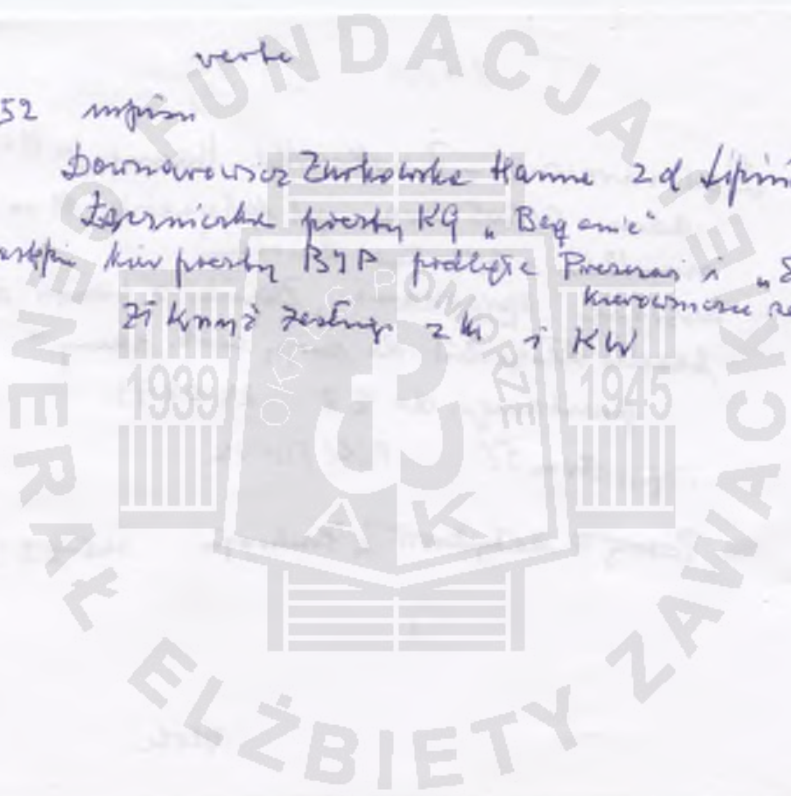
Pracę o ~~dotychczas~~ 2 Pracekajin 24 5.2. 1999

Wrote



S. 52 *in fine*

Donatorami z Eucharystycznej Komunii z d. Lipińskiego  
Lecznicy przy kościele K.G. "Bogomile"  
w tym kościół przy B.T.P. przy ul. Piłsudskiego i "Sobociński"  
z kościoła z siedzibą z k. i k.w. kierownictwo renowacji



LIPIŃSKA Hanna

